



Eug. Feyen. „Powrót“.

Życie prowincyi.



Niezwykle pouczającą rzeczą dla publicysty namiętniej interesującego się kulturą ojczystą, a w dzisiejszych czasach wprost zatrwożonego o jej dalszą żywotność i płodniejszą egzystencję, jest poznanie kolejno małych i większych miast w Królestwie. Definitywnie bowiem określając sumę wrażeń, jakie się odnosi z takiej przejażdżki jest to wzmoczony optymizm i wiara w istnienie i niedaleki przyływ nowych odżywczych sił dla orki kulturalnej tak w kraju całym, jak i na niwie stołecznej. Można bowiem być pewnym, że gdy te burze przejściowe przeminą i nastaną czasy gojenia ran i ukojenia, Warszawa znów wzrośnie szybko, magnetycznie przyciągając ku sobie najtęższe inteligencje prowincyi. Dziś więcej jak kiedykolwiek należy w sobie i w swych środowiskach podsycać zarzewia optymizmu, który u nas, w tym niewolniczym bycie, nie jest wcale sennością ospałych i zadowolonych miernych, ale już raczej najistotniejszym heroizmem rozmienionym w codzienną obiegową monetę; jakby uśmiechem Guliwera spętanego, gdy zasnął, tyśiącami i krociami sznureczków i włókien do Rzeczywistości.

Prowincjonalne miasta w Królestwie przeżywają obecnie okres młodości; dzieciństwem ich były czasy historycznego bytu Polski, w których, przyznać to trzeba, nie chowano ich zbyt pieczołowicie i tkliwie i nie troszczono się o to, czy z niemowląt wyrosną tegie, zdrowe organizmy. Dopiero ojczym, król naszych czasów, Przemysł Wielki zajął się goręcej rozwojem tej progenitury, co prawda najgoręcej ukochawszy takie osady, które za czasów historycznych nie miały żadnego znaczenia, jak Sosnowiec lub Łódź, ta krwawa Łódź, która z „sioła“, liczącego 800 dusz w r. 1820, wzrosła do rozmiarów olbrzymiego wrzodu, liczącego dziś z przyległościami do 400,000. Wielki przemysł wzbudził i postawił na nogi te miasteczka, które po katastrofach historycznych legły w sen, jak batem oćwiczone psy, by w tym śnie

wygrzewać się ino w słońcu i z pokolenia w pokolenie przeżywać, przepychając jako tako mus bytu. I od tego przemysłu nadal zależnym jest i będzie rozwój ich majątków, stan ich kultur, oświecenie umysłowe i wewnętrzny ład, czystość, porządek i strój architektoniczny także, nie zaś od jakichkolwiek manifestów, które na położenie rzeczy wpływają bardzo mało i o tyle tylko, że życie wewnętrzniejsze, skoncentrowanwsze, w czterech ścianach się chraniające i przed okiem barbaryi skrywane, wyprowadzają na światło publiczne, na wiece, zebrania tłumniejsze, manifestacje i t. p. I według zdania (nietylko) mego—więcej dla rozwoju tych miast i miasteczek znaczą dwie lub trzy nowo założone fabryki, osiedlające się grupy nowych ludzi z ich zarządów i dyrekcji, więcej—porcy bakczyszu chojniej sypanego „miarodajnym“ effendim, kadyim i wezyrom, więcej ruchliwa energia czynników politechnicznych i nakoniec tą drogą przemysłu konieczne komunikowanie się ciągle z Europą—od wszelkich azyatyckiej polityki metamorfoz i od „wstrząsających“ wypadków we Wschodniej Europie, której losy w ostatnich latach zaczęły nas, już w 16-tym historycznym wieku: „dobrych Europejczyków“ tak przesadnie obchodzić. Ale przecież niebawem obrócimy się znowu twarzą do Europy cywilizowanej i korzystając z kilku zdobyczy ostatnich czasów i z kilku odrazu wytrzeźwiających ciężkich doświadczeń, zaczniemy żyć na nowo sami z sobą, dla siebie, wyteżywszy wszystkie moce na gospodarstwo ekonomiczne, kulturalne, oświatowe i oświeceniowe. I wówczas prowincya i jej życie będą musiały wystąpić przede wszystkim na plan pierwszy w programie działalności wszelakich. A restytucya i odnowienie gmachu całego, którego Warszawa jest jeno kopułą, musi się zacząć od fundamentów wiejskich i niejako ścian, murów społeczności, t. j. miast i miasteczek.

Pozwolę sobie podzielić się z czytelnikami garścią bezpretensjonalnych spostrzeżeń i obserwacji, które nastęrczały mi się w mojej przejażdżce z odczytem p: t.: „Satyra staropolska“ po ośmiu miastach Królestwa.

Urodzonego galicyjanina przede wszystkim cieszyła żywsza fizjonomia tych miast na pierwszy zaraz rzut oka. Już i tutaj, po tych miasteczkach, ludziom także się śpieszy, już wszyscy są elastyczniejsi i nerwowsi; ku dworcom kolejowym ciągną wielkie furgony i wozy ładowne, z nad kompleksów kamienic i domków sterczą dumnie już nie tylko wieżycy kościołów, ale i czerwone szyje wielkich kominów. Im więcej tych kominów będzie w jakimś mieście, tem zaraz okazuje się miasto świadomsze, śmielsze, mniej ukorzone. Im tych ceglanych drogowskazów mniej, tem w mieście ciszej, ludzie spacerują wolno, znużenie, ospale, ustępując pokornie z drogi przed każdym Persem kupcem, Turkiem piekarzem, Tatarem i t. p. Widząc ten objaw szczególny, zaczyna się z najwyższą miłością patrzeć na te artystycznie potworne czerwone szalety o setkach okien brudnych i zakopcanych, z za których tylko słychać miarowy turkot stalowych potworów, obsługiwanych kornie przez mrowie żylastych posepnych bliźnich: Przeczuwali Staszyc, Lubbecki, Łubieński z ilu to względów potrzebny nam będzie wielki przemysł i nawoływali do jęcia się go wszystkich, co mają tylko kapitały w rękach. Ale wołania ich dość słabe tylko znajdowały echo. I trzeba było dopiero tych panów jak Philipp de Girard i Herr Geyer aus Zittau i całego napływu Schechlerów, Schlosse- rów, Rauów, Fitznerów, Loevensteinów, Hillych, Dietrichów, von Kramstów i tylu, tylu innych, aby ich impuls podziałał podniecająco na tubylczą energię i inicjatywę. Dziś sam okręg przemysłowy łódzki produkuje za 120 milionów rocznie; Sosnowicki 90 milionów rocznie zarabia. Niestety, małeńka z tego część złota jest w polskich rękach a już minimalna staje się zyskiem polskich instytucji kulturalnych, humanitarnych, oświatowych. I minimalna idzie na zeuropeizowanie, upiększenie, uporządkowanie i higienę tych miast, w których przybysze z Zittau, z Oseritz, z nad Renu i Moseli tak szybko porobili grube majątki.

Jeszcze dawniejsze pokolenie Niemców, industrializujących Królestwo, skłonniejsze było do asymilacji lub przynajmniej do współżycia z polskim społeczeństwem. Nowsze żywioły są już ultra-teutońskie, centra fabryczne uważają za obozowiska pół wojen-



Łódź. Ulica Piotrkowska.

ne w obcym kraju, a tak w Łodzi, jak Sosnowcu niemiecki język słyszy się już więcej, niż bardzo często; aby dać przykłady konkretne: szowinistyczne, hyper-monarchiczne pismo berlińskie „Woche“, ma w samej Łodzi przeszło 1000 stałych odbiorców; w spisach współfundatorów przewieleu Bismarckowskich pomników po Niemczech

figuruje stale nazwiska gentelmanów z dopiskiem: *aus Łódź*, *aus Czenstochau*, *aus Kalisch!* W ostatnich zaś latach liczne figury ze światka łódzkich parweniuszów z całą swobodą przyniosły się do Berlina z rodzinami, mając poniekąd podręczną ekskuzę w formalnym niebezpieczeństwie grożącej wciąż śmierci. Ale choć te środki

przemysłu w Królestwie, jak np. kopalnie dają swoje zyski milionowe książętom Hohenlohem, czy hrabiom Renardom, choć gdzieś tam pomniejsze fabryczki, jak nawet płócien, haftów czy fortepianów są w rękach zagorzałych *allddeutschów* i hakatyistów, to jednak zawsze krocie złota ostają w kraju i dają życie setkom ludzi bezrolnych, małorolnych, proletaryuszów inteligentnych i fachowo wykształconych jednostek, które inaczej musiałyby bądź co bądź tylko emigrować masami. I tylko dzięki temu własnemu, czy importowanemu, ale zawsze tu zaginionemu przemysłowi, sprawiają miasta w Królestwie, w porównaniu z galicyjskimi np. wrażenie bezporównania korzystniejsze. Tutaj nadają tonu wolne kulturalne

fachy: adwokaci, doktorzy, przemysłowcy, urzędnicy banków; w Galicyi: ck. prezydent, ck. starosta, ck. dyrektor policji, ck. prokurator, ck. dyrektor gimnazjum i ck. komisarze, t. j. biurokracja, do niedawna taka sama, jak każda inna, ciężka, reakcyjna, pretensjonalna, omalzupełnie ignorancka. W ostatnich latach dopiero biurokracja małych miast galicyjskich zaczyna się uspołecznić i czuć się coraz mniej ck. austriacką, a co raz więcej polską z przyczyn wielu, między którymi także i nienajpośledniejszy przykład gorętszego napięcia patryotycznego królewiaaków... i to właśnie nie tylko tych z Warszawy, ale i tych z małych i maleńkich miasteczek, królewiaaków, „bawiących“ w Krakowie i po galicyjskich miejscach kąpielowych.

Uprzemysławianie miast w Królestwie, uskuteczniane w tempie ogromnie szybkim, przyczyniło się niezmiernie do ich rozrostu, przyczem jednakże tak całkowicie zlekceważono najelementarniejsze wymagania estetycznego ładunku i jakiegokolwiek architektonicznego piękna, w najskromniejszym tego słowa znaczeniu, że niektóre z nich mają w sobie całe partie, przedmieścia horrendalnej, piekielnej brzydoty. Coś obrzydliwszego nad taką metropolię galmanu, cynku i węgla, nad ten murowany w wysokie domy obóz, cały pokryty dywanem węglowych odpadków, a zwący się Sosnowicami (ani śladu tu sosen), trudno sobie wyobrazić. I konwencyonalnym kłamstwem byłoby zwać tę brzydotę na niższość cywilizacji nowej, w porównaniu z kulturą przeszłych wieków; tak nie jest. Tylko gatunek ludzi w pierwszym pokoleniu robiących majątki, parwenientów na dorobku niema czasu na patrzenie, na widzenie, na czucie, na słuch, zostawiając to dopiero swym dzieciom a nawet wnukom. Typowym przykładem zbrzydzenia miasta po jego industrializacji jest też nasze Lourdes: Częstochowa.

Miasteczko kilkunastotysięcz-



Częstochowa. Ogród klasztorny na murach.

ne jeszcze w latach 1870 odwiedzane tylko raz-wroczenie z powodu cudownego obrazu—dzięki bliskości Szlązka wzrosło do 50.000 mieszkańców. Z uroczej jednakże, sennie, ogródkowej oazy o prastarych domkach z późnieniami i o kilku dickensowskich zajazdach wyrosło bardzo szpetne centrum tkactwa, które znowu, jak wiadomo, jest najistotniejszym źródłem bogactwa krajowego, tworząc $\frac{1}{6}$ ogólnej produkcji Królestwa. Tak jak z Częstochową i jej zmianą z polskiego Lourdes na Lyon dzieje się też z innymi miastami t. j., że utraciły już one swój patryarchalny, staromłomiejski charakter, w którym było wiele elementów artystycznych, a obecnie przechodzą przez fazę stwarzania i stawiania nowych warsztatów pracy, które dopiero z czasem dadzą dobrobyt i co za nim idzie estetyczne potrzeby lub choć pretensje. I tylko dwa z nich przechowały w sobie jakąś ciągłość kulturalną, szanując nawet pietystycznie historyczne pamiątki i tradycje. Są to Lublin i Kalisz. W tych jest szacunek dla starych murów obok świadomości i znajomości nowoczesnego życia. Lublinianie w typie już przeważnie wielkomięjscy, śmiały i swobodni wiedzą i odczuwają dokładnie, że mieszkają w mieście polskim po Krakowie najpiękniejszym i historycznie najbogatszym. Umieją być sympatycznie dumni z tego, że to był ulubiony gród Jagiellonów i Sobieskich, że tu mieszkał Klonowicz i Aryanie odbywali swe synody. Lublinianie wiedzą, że tu każdy kamień, o rusińskich napadach, o trybunalskich zjazdach, o sławnych



Kalisz. Kościół św. Mikolaja.

na całą Polskę jarmarkach, o wspaniałym dziele Unii. I co więcej... oni rzetelnie nawet ukończenie historyczności polskiej umieją łączyć harmonijnie ze światopoglądem wskrószonego nowoczesnym, co jest już oznaką absolutnej dojrzałości kulturalnej, a w krajach Korony Polskiej bardzo jeszcze rzadko się spotyka. A do oświeconych Lublinian podobni Kaliszanie. I ci dumni, że mieszkają w najstarszym mieście już za Ptolomeusza w drugim wieku po Chr. znanem, wiedzą,

że tu kiedyś był tyn obronny Kazimierza Wielkiego, że w tym mieście popioły Staroego Mieszka. A z szacunkiem i dla starych kilku kamienic i wspaniałych kościołów umieją łączyć europejski na rzeczy pogląd i jaki taki liberalizm. Oba miasta wiele też zawdzięczają i tej okoliczności, że miały w poprzednich okresach mniej więcej cywilizowanych gubernatorów Pompadurców, którzy nie uważali wzorem swych kolegów Prywislanskiego Kraju tylko za Tazskient przydatny do dewastacji i rabunku, ale nieco przyczynili się nawet do upiększenia miast np. zakładaniem wprost

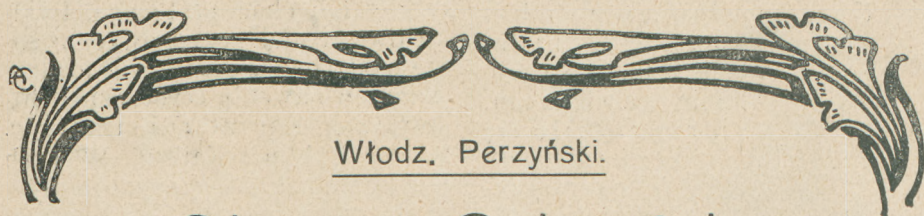


Lublin. Widok ogólny.

imponujących parków. Lublin i Kalisz to dwa miasta, do których można dziś zawieźć każdego Europejczyka z całą ufnością, że mu się bardzo spodoba, a do których należy zawieźć tych warszawiaków, którzy o życiu prowincyjcy nie mają żadnego wyobrażenia i uważają je tylko za posępne, małe, ciche: „grodziska“.

DCN

A. Nowaczyński.



Włodz. Perzyński.

Sławny Człowiek.

32

POWIEŚĆ.

XXXIII.

Tego samego dnia, w którym Porecki oddał swoją nowellę do druku, Bielecka powróciła do Warszawy. Przypadkowo, przechodząc wieczorem pod jej oknami, ujrzał w nich światło. Ucieszył się, bo uważał to za dobrą wróżbę. W jednym z okien światło było różowe i wywnioskował, że tam musi być jej sypialnia. Podnieciło to silnie jego wyobraźnię i zaraz nazajutrz postanowił złożyć dawnej kochance wizytę. Przed zaśnięciem bawił się manewrami o tem spotkaniu.

Kiedy jednak upragnione nazajutrz nadeszło, zawahał się. Gdyby Bielecka mieszkała sama, ach, to co innego, poszedłby bez chwili zastanowienia. Ale, niestety, mieszkała z towarzyszem, którego nie znał wcale, nawet z widzenia i na domysł nawet nie mógł przewidzieć, jak go tamten przyjmie. Postanowił spotkać Bielecką na ulicy i znów zaczął czatować na nią przed bramą. Przypomniało mu to czasy, kiedy odnajmował pokój od Zakrzewskich i pierwsze chwile ich znajomości. Podobała mu się ta analogia. — Widocznie — my-

ślał—sądzonem jest, aby za drugim razem wszystko się tak samo zaczynało, jak za pierwszym.— Bo w to, że Bielecka nie oprze się czarowi jego mężkości, nie przestawał wierzyć ani na chwilę.

Po dwóch dniach oczekiwania spotkał ją wreszcie. Szła sama i, ujrawszy go zdaleka, uśmiechnęła się wesoło.

— A, co za spotkanie...

— Jak się masz... Cóż u ciebie słychać?

— Wszystko dobrze.

— Ożeniłeś się już?

— Nie, rozmyśliłem się w ostatniej chwili. Powiem ci prawdę, że jedna jest tylko kobieta na świecie, z którą ożenił bym się bez namysłu.

— Kto?

— Ty.

Bielecka parsknęła śmiechem.

— Nie śmieć się, mówię poważnie.

— Złotko drogie, nie mnie brać na takie rzeczy. Powiedz lepiej, sameś zerwał, czy panna poznała się na tobie?

— Sam.

— Nie zdaje mi się.

— Słowo honoru. Wiesz, że tylko dlatego chciałem się żenić, żeby wziąć posag.

— I cóż, dostałeś spadek?

Poreckiego zaczynał niecierpliwie drwiący ton Bieleckiej. Mając jednak dalszą przyjaźń na względzie, przezornie znosił jej drwiny. Bielecka skreśliła w Aleje i poszła w stronę Belwederu.

— Dokąd idziesz?

— Tak, przejdę się... Porozmawiamy.

— W domu nie możesz mnie przyjąć?

— Nie.

— Zazdrosny?

— Głupiś.

— Nie gniewaj się. Bardzo bym pragnął cię odwiedzić. Zresztą zupełnie słusznie należy ci się moja wizyta. Tyś mnie odwiedzała w hotelu, pamiętasz?

Wspomnienie podziało podniecająco na oboje. Bielecka roześmiała się przeciągle.

— Dobrze było, co?

W tonie jej głosu brzmiał znów ten aksamitny, dziecinny akcent, który mu przypomniawszy pierwsze ich spotkanie w przedpokoju.

— Albo ty przyjdź do mnie...

— Gościnnie jesteś.

— A ty kpisz ciągle, zamiast mówić poważnie... Pamiętasz.

Chcąc zachęcić ją do przyścia, zaczął jej przypominać różne szczegóły ostatniej schadzki. Bielecka zanosila się od śmiechu.

Od czasu, gdy jej nie widział, zmieniła się bardzo. Przedtem była bajecznie piękna i ponętna, ale z ruchów jej i ubrania przebijał styl małomieszczański, który raził arystokratyczne upodobanie Poreckiego. Teraz wszystko to znikło. Przekształciła się w wytworną, w wielkim stylu, kokotę. Przechodnie oglądali się za nimi i Poreckiemu pochlebiało już to samo, że idzie obok niej.

— Ale wiesz—rzekł ze szczerem przejęciem w głosie — tak teraz wyglądasz, że mogłabyś być ozdobą każdego książęcego salonu. Co za djabelski szyk.

— To paryska suknia.

— Byłaś w Paryżu?

— Byłam teraz, przez sześć tygodni.

Coraz bardziej dawna kochanka poczynała imponować Poreckiemu. I to budziło w nim coraz silniejsze pożądanie wznowienia z nią stosunków.

— Przyjdiesz — dopytywał się nerwowo, niespokojnie, wpijając się w nią oczami, tak jakby siłą magnetyczną wzroku chciał wydrzeć z niej potwierdzającą odpowiedź.



W. Szereszewskij Pieśń rodzinna skazańców.

Ona jednak o czem innym myślała.

— Widzisz, tyś się wciąż do Paryża wybierał, a ja pierwsza pojechałam.

Miał złośliwą uwagę na ustach, nie wypowiedział jej jednak, obawiając się każdego słowa, które mogło rozgniewać na niego Bielecką. Włókł się za nią pokornie, jak pies, raz po raz tylko powtarzał błagalnym szeptem:

— Przyjdiesz?

Dochodzili już do końca Alei, gdy Bielecka skinęła nagle na przejeżdżającą dorożkę. Spojrzał na nią zdumiony.

— Dokąd chcesz jechać?

— Do domu.

— A ja?

— Mam nadzieję, że pojedziesz ze mną. Pragnąłeś przecież mnie odwiedzić.

Poczerwieniał z radości. A więc to wszystko, o czem marzył, sprawdza się. Wystarczyło jedno spotkanie, dziesięć minut rozmowy i znów Bielecką przykuł do siebie. Jadąc, przysuwał się do niej coraz bliżej i bliżej, aż w końcu musiała go odepchnąć.

— Siedź-żeż przyzwoicie — zawołała zniecierpliwiona. — Każe ci prysznic wziąć w domu.

Jego ta ironiczna uwaga wprawiła w zachwyt.

— Dobrze — roześmiał się wrzącym głosem. I w tej chwili

dopiero przypomniał sobie, że Bielecka nie mieszkała sama. Spojrzał na nią badawczo, podejrzewając, że może kpi tylko z niego i przed domem wyrzuci go z dorożki.

— Tylko jest jedna rzecz — zaczął. — Ja nie znam...

— Nikogo nie potrzebujesz znać — przerwała mu. — Jestem zupełnie sama w domu.

— Jakto?

— Od dwóch dni. I wściekle się nudzę. Właściwie mówiąc, dobrze się stało, że cię spotkałam. Stary wróci dopiero za tydzień.

Mówiąc to, mrużyła oczy i uśmiechała się obiecująco. Porecki przeklinał w duchu dorożkarską szkapę, która się wlokła, jak żółw.



Br. Rychter-Janowska. Portret p. Grabowskiego, art. dram. z teatru krakowskiego.

Wreszcie zajechali przed dom. Bielecka zajmowała na drugim piętrze trzy pokoje z balkonem, wychodzącym na ulicę. Mieszkanie było zaledwie na wpół urządzone, ale pomimo wszelkich braków, posiadało już specjalny, charakterystyczny styl, który ani na chwilę nie pozwalał wątpić o tendencjach życiowych właścicielki. Pokoje leżały rzędem, jeden za drugim, tak, że stanawszy na progu mieszkania, można już było dojrzeć w ostatnim z nich, przeznaczonym na sypialnię, wielkie francuskie łóżko, pokryte baldachimem. Nad drzwiami, wiodącymi z saloniku do sypialni, ktoś przyczepił kartkę papieru, na której wielkimi literami było wypisane: „Wrota Raju“. Poreckiemu bardzo się ten napis podobał. Wybuchnął śmiechem.

Bielecka roześmiała się również.

— To Wacek napisał. On miewa czasami takie pomysły, jak mały dzieciak.

— Jaki Wacek?

— Ach, to ty nie wiesz, że jemu Waclaw na imię?

— Doprawdy... Widzisz, masz szczęście do Waclawów...

Przysunął się i chciał ją objąć wpół. Ona jednak odepchnęła go od siebie.

— Siadaj na krześle i siedź spokojnie. Co za dzikie usposobienie. Ty masz gorączkę.

— Mam — śmiał się, a usta drgały mu konwulsyjnie. Pozwól żeż mi się pocałować na powitanie.

— Poczekaj, poczekaj... Kto słyszał na taki upał się całować. Albo pocałuj zresztą.

Rzucił się ku niej, lecz Bielecka w tej samej chwili zerwała się nagle z krzesła, jakby czemś wystraszona.

— Mój kochany, wyjdź-no na chwilę na balkon.

— Po co?

— Idź, skoro ci mówię — powtórzyła niecierpliwie, zniżając głos do szeptu.

Jednym skokiem znalazł się na balkonie. Ona zaś zamknęła za nim zaraz drzwi na zasówkę. Pewien był, że ktoś ich zaszedł. I pomimo, że powtarzał w myśli, chcąc dodać sobie fantazyi: „Wielka rzecz... głupstwo“ — błąd był i trząsł się, jak w febrze. Wtulił się w kątek balkonu, żeby go nie było widać z pokoju przez szybę i przywarty do muru stał w ponurem oczekiwaniu jakiegoś strasznego przejścia. Rój charakterystycznych myśli plątał mu się gorączkowo po głowie. W wy-

obraźni widział już przed sobą lufę rewolweru i słyszał huk wystrzału. Przestał tak z kwadrans. Potem, ochłonawszy z pierwszego przestrawu, począł obmyślać na zimno plan obrony. Jeśli tylko wyjdzie na balkon, wyrzuci go głową w brzuch, a sam do drzwi. Zaczął nasłuchiwać, co się dzieje w pokoju: czy nie doleci go odgłos jakiej sprzeczki, lub nawet walki. Ale na ulicy zjechało się kilka dorożek, których turkot głużył wszystko. Zaczęła go dręczyć obawa innego rodzaju. A jeśli przyjdzie mu ochota nocować, to ja także przez całą noc będę stał na tym balkonie. Nagle usłyszał ciche pukanie w szybę. Nie od razu się pokazał. Może to on tak się bawi ze mną, jak kot z myszą.

Dopiero kiedy pukanie się powtórzyło, ostrożnie wychylił głowę.

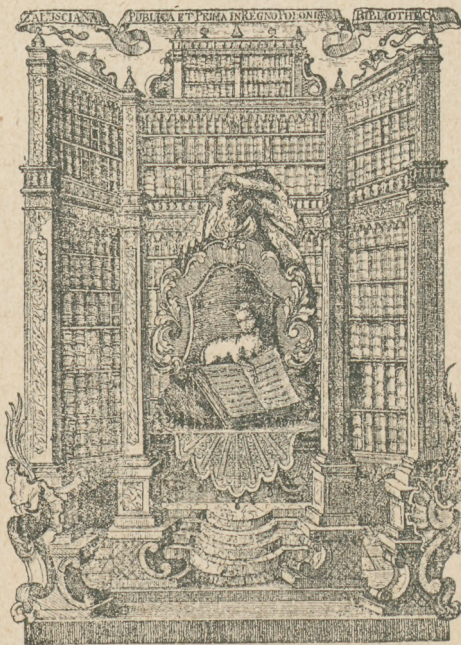


DN

Ex-libris'y Bibliotek Polskich XVI -- XX wieku.

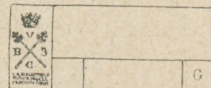
Wydawnictwo pana Wittyga, od niedawna znajdujące się w handlu, jest ciekawym przyczynkiem do bibliotekoznawstwa tak obecnego, jak i księgozbiorów z przeszłości. Przeglądając spis, widzimy, że skrzętny autor usiłował zgromadzić materiału jak najwięcej, że z przedmiotem jest doskonale zaznajomiony i że ma zrozumienie epoki i stylu.

Książka ta, oczywiście, nie wyczerpuje przedmiotu, a jest tylko pierwszego tomu dalszym ciągiem, o czym autor nawet w swej przed-



Ze zbiorów ordynacji hr. hr. Krasińskich w Warszawie.

Biblioteka Jagiellońska



Ex-librisy według rysunków art. malarza J. Bukowińskiego.

mojowi wspomina. Tak jak jest, stanowi jedyne poważne kompedyum, pozwalające oryentować się w naszych ex-librisach — a trzeba przyznać, że jest ich dość, i często w licznych odmianach — doskonale reprodukowano stanowią wyborne przypomnienie oryginałów — nieraz już tylko z bardzo wielką trudnością dających się odszukać po świecie.

Czasy dawniejsze, oczywiście, trzymają prym. Barocco i Rococo dostarczają głównego podstawowego materiału artystycznego.

Te stylowe tarcze, wybornie jako dekoracya książkowa, drukarska, rysowane, stanowią istotną ozdobę każdej księgi, gdzie zostały umieszczone.

Cóż to za przepyszny rysunek taki Siennińskich, herbu Dębno ex-libris.

Szkoda, że nie wiemy kto jest tej wprost znakomitej karty — autorem?

Dalej Jerzego Ra-

dziwiłła

mniej wię-

cej w tym samym stylu. Potem Mi-

chała i Karola-Stanisława Radziwiłła.

Znakomitą również jest Filipowi

czy Biblioteki Załuskich „karta wstęp-

na“ głośniejszej tej księżnicy jest jeszcze

drugie ex-libris, skromniejsze.

Zbiory Toruńskiego Burmistrza

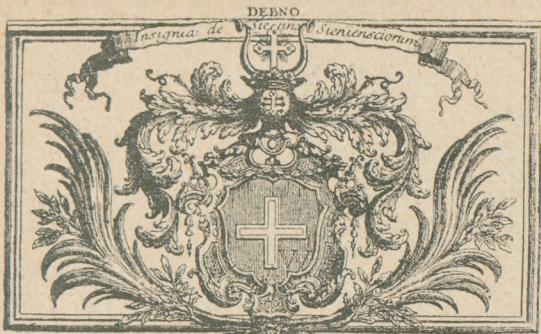
Zerneck'a były zdobione dwoma prze-

pięknymi znakami, zdradzającymi wy-

soki artyzm i umiejętność twórcy.

* *

Czasy nowsze, lata pięćdziesiąte przeszłego wieku, widzimy doskonale reprezentowane w modnej pod owe czasy manierze — tak zwanym stylu „romantyczno-malarskim“. Tych czasów jest doskonałym wyobrazicielem rytownik Kilisiński, który dłuższe lata spędziwszy w Medyce, majątku przeznaczonej pamięci Gwalberta Pawlikowskiego tam też moc ex-librisów wykonał. Jest to ze względów czysto artystycznych dość niudolna robota, jednakże towarzyszy tym pomyślam taką miłość przedmiotu, taką żarliwość patryotyczną, takie dobre poczciwe chęci, że mile widzimy zawsze owe: ruiny z przerozmaite.



Ze zbiorów d-ra Bol. Erzepkiego w Poznaniu.



Ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie.



Ze zbiorów ordynacyi hr. hr. Krasieńskich w Warszawie.



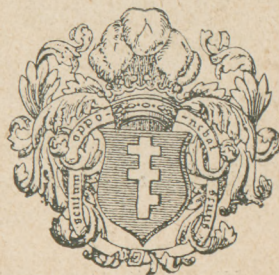
Ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie.



Ze zbiorów autora.



Ex-libris roboty Kilińskiego, ze zbiorów autora.



BIBLIOTEKA ANTONIŃSKA

Ze zbiorów autora.

mi napisami, chorągwiemi, krzyżami, gwiazdami, symbolami—nieraz zgoła nienadającymi się do grafiki, gdyż trudno się tłumaczyć. A jednak, te rzeczy są miłe nam, jest coś w tem, co tłumaczy epokę, coś z liryzmu, coś z ideałów i porywów owoczesnych!

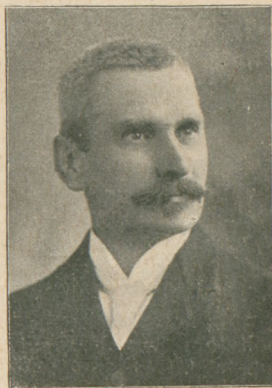
Tak bogata w ex-librissy, sztuka zachodu, posiada w tych małych kartkach wyborny wykładnik rozmaitych epok sztuki, jak i znakomity komentarz kulturalny; z ex-librisu poznaje się właściciela książki, jest to jakby karta wizytowa, krótkie streszczenie gustu, pojęć i wyobrażeń pana biblioteki.

Głośne nieraz rody, wielkie nazwiska nie umiały się zdobyć na piękną etykietę swych zbiorów, zadawał-niając się: stemplem, lub ordynarną kartką z koszlawo drukowanym napisem, często i najczęściej znów ku większej chwale rodu błyszczy herb kiepsko narysowany i za całą ozdobę książki starczyć mu przeznaczono. Jest to mały jeszcze stopień gustu i wymagań kulturalnych, tych wymagań, z których powstaje z czasem całokształt Sztuki danego narodu, stopień rozwoju ogólnych pojęć estetycznych, powoli układających się w regułę: „Sztuka narodowa“!

Władysław Wankie.

mniej piękne, lecz nęcące świeżością. Na tych nowych, mnożących się wciąż szlakach Polska może i powinna się znaleźć. Bez fałszywej skromności możemy sobie powiedzieć, że cudzoziemiec, który zapragnie poznać także osobliwości naszego kraju, nie wyjedzie z niego rozczarowany. Mimo wszystko, znajdzie u nas i ciekawe rysy odrębne i cuda przyrody, godne stanąć obok obcych i zabytki przeszłości, które mogą zająć każdego wykształconego człowieka.

Byłoby strata czasu dowodzić tych nieobliczalnych korzyści moralnych i materyalnych, które stałyby się udziałem naszego kraju, gdyby się nam udało skierować tu ruch obcych na większą skalę. Polska Eustachy Jaxa-Chronowski, przestałaby być dla zachodu jakąś mityczną ziemią, na której rachunek każdy może kłamać, ile zechce, Poznanoby, żeśmy w rodzinie ludów znaczyli coś i jeszcze znaczymy, przekonaby się, że na wytrąceniu nas z normalnej kolei świat może coś stracić. Kraj zyskałby chociaż małe, ale przecież nieobojętne źródła dochodu. Są nas wreszcie gałęzie produkcji rodzinnej, przed którymi otwarłyby się szersze pola zbytu.



Eustachy Jaxa-Chronowski.

Turystyka polska.

Czy Polska może przedstawiać jakiś powab dla turystów obcych?

Nasza niewiara w siebie, której przyczyny ostateczne wiążą się z całokształtem nienormalnych naszych stosunków, sięga i tutaj nawet. Zepchnięci z dawnego, świetnego stanowiska, wyczerpani i zdemoralizowani klęskami politycznymi, lekceważeni przez wszystkie dusze poziome prostackie, którym imponuje tylko opancerzona pięść, staliśmy się sami skłonni do mniemania, że kraj nasz nie może przedstawiać żadnego interesu dla cudzoziemca. Z przesadą ludzi wykolejonych umniejszamy wartość i urok tego, co z tytułu swojego znaczenia cywilizacyjnego, swej odrębności i oryginal-

ności mogłoby u nas rościć sobie prawo do szczególnej uwagi. Sama nawet przyroda nasza wydaje się nam uboższą, niż jest w istocie.

Nie możemy oczywiście mierzyć się z krajami południa i wschodu, gdzie wdzięk łagodniejszej natury i bogate pomniki prastarej cywilizacji oddawna wykreśliły pierwszorzędną szlaki dla światowej fali turystycznej. Jednakże nietylko to, co najświetniejsze i najbogatsze, posiada moc przyciągającą. Turystyka nowoczesna przy olbrzymiej swej ruchliwości i wzroście musi coraz bardziej rozszerzać pole swych wrażeń, musi z ścieżek piękniejszych, lecz do zbytku udeptanych, zstępować na



Wycieczka urzędników ministerjalnych z Wiednia w Pieninach.

Niewątpliwie najwięcej warunków do zainteresowania obcej turystyki posiada Galicya, mianowicie jej część zachodnia. Taka n. p. jednotygodniowa partya turystyczna, obejmująca Kraków, Wieliczkę, Tatry i Pieniny, mogłaby z pewnością wyrobić sobie sławę. Drugą grupę, której zwiedzenie nie nastęrczałoby trudności przy doskonałym połączeniu kolejowym, stanowiłyby Lwów, Olesko i Podhorce, trzecią, trochę uciążliwszą, lecz sownie wypłacającą za poniesiony trud, mogłyby być Karpaty ze swym czarującym, dzielnym pięknem, które w wielu okolicach zachowało całą swą dziewiczą czystość.

Aby wywołać ruch turystyczny obcych do tych miejsc i okolic, należałoby podjąć systematyczną, celową akcję: ulepszyć drogi i połączenia kolejowe, pobudować hotele, rozwinąć reklamę. Akcyi takiej nie podejmowano u nas, bo nie wierono w jej skuteczność. Sceptycyzm był przeciwieństwem niezasadnionym.

Turyści obcy nie zachowują się wobec nas wcale tak odpornie, jak to sobie wyobrażamy. Należy ich tylko zachęcić odpowiednio do przybycia w nasze strony. Przed laty kilkunastu podjął taką akcję na własną rękę p. Eustachy Chronowski, niegdyś emigrant z r. 1863, wyszkolony długim pobytom we Francji i w Ameryce, właściciel krakowskiego „Grand-hotelu”. P. Chronowski, widząc, jaką moc wspaniałych zabytków posiada Kraków, oddawna myślał o podniesieniu tutaj frekwencji obcych. W tym celu nawiązał stosunki z głównymi agencjami turystycznymi za granicą, starając się przekonać je, że omijanie Krakowa dzieje się z oczywistą szkodą turystów, wymógł na wydawnictwie Baedekera i innych przewodników, iż poświęciły Krakowowi tyle miejsca ile mu się istotnie należało, nie zaniedbał także reklamy. Wszystko to, zważywszy zwłaszcza, że przeprowa-

dzone zostało siłami jednego człowieka, nie było robotą łatwą, ale też nie poszło na marne. Ruch obcych w Krakowie wzmożił się znacznie.

— W latach 1892 do 1894 — opowiadał mi p. Chronowski — wynosił on około 2000 osób rocznie. Od wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej i rozpoczęcia się wrzenia rewolucyjnego w Rosji zmniejszył się do połowy: odpadła cała turystyka, kierowana przez agencje obce do Rosji, na Kaukaz i Krym, a dla której Kraków był jednym z etapów podróży. Pozostało przeciwieństwo około 1000 osób — głównie Anglików i Amerykanów, reguły ludzi bardzo zamożnych — którzy przyjeżdżają umyślnie już tylko do Krakowa. Nie rzadko zdarzają się wśród nich osobistości, zajmujące wysokie stanowiska. Miałem niejednokrotnie sposobność przekonać się, że obcy ci goście opuszczają Kraków oczarowani tem, co tu widzieli. Zachwycają ich zwłaszcza Sukiennice, Wawel, Biblioteka Jagiellońska, muzeum Czartoryskich, resztki fortyfikacji. Wyznają, iż nie spodziewali się widzieć tu tyle oryginalnych i pięknych zabytków, uderza ich niespotykany gdzieindziej koloryt ludu wiejskiego, z zajęciem oglądają typy żydów polskich na Kaźmierzu, które stanowią dla nich nieznaną osobliwość. Stary mój znajomy, malarz szwedzki Zorn, bawiąc tu przez tydzień, zachwycał się renesansowymi podwórzami domów przy ulicy Kanoniczej. Wielu interesuje się naszymi wyrobami ludowymi. Słowem, posiada Kraków wyborne warunki, aby się stać miastem turystycznym na wielką skalę, bylebyśmy w zakresie współczesnej kultury zdobyli się jeszcze na to, czego przybywający tu cudzoziemiec słusznie wymaga.

A Kraków nie jest przeciwieństwem jedy- nym punktem, do którego łatwo można by ściągnąć obcych.

Lecz ruch turystyczny, płynący

z zagranicy, nie wyczerpuje sprawy. Pozostaje jeszcze turystyka wewnętrzna, krajowa, wcale nie mniej ważna, a może nawet ważniejsza od tamtej. I ona znajduje się w stanie nader opłakanym. Ponieważ nie doceniamy własnego kraju, nie staramy się go poznać. Szukamy wrażeń po szerokim świecie, nie zaznawszy wprzódt tych, jakich mógłby nam dostarczyć kraj ojczysty. Tęgo anormalnego stanu rzeczyć, który może nigdzie nie występuje w tak jaskrawy sposób, jak w Polsce, nie należy lekceważyć. Chwile wytchnienia, chwile, które się w gospodarce życiowej przeznaczają na oderwanie się od szarzyzny codziennych interesów, przywiązują do miejsca i przyrody. My trwonimy je zbyt często bez istotnej racyi pod obcym niebem. Zubożamy tym sposobem nie tylko nasze zasoby ekonomiczne, ale i treść duchową naszej narodowej istoty: o tyle sztuczniej kochamy nasz kraj, o tyle jest on dla nas w rzeczywistości bardziej obcym, im mniej przeżyliśmy na jego łonie chwil kojących i krzepiających, im więcej zawdzięczamy mu wrażeń i wspomnień, im mniej wiąże nas z nim nici, nawiązanych wśród obcowania z jego ludźmi i naturą. Ożywiona turystyka wewnętrzna, kładąc kres zawstydżającej nieraz niezajomości własnego kraju zbliżając do siebie mieszkańców jego różnych dzielnic, mogłaby się stać prawdziwym naszym dobrem narodowym.

W ostatnich czasach zmieniło się tu niejedno na korzyść, lecz w sumie niepodobna tego nazwać inaczej, jak kroplą w morzu. Od dwudziestu lat jeździmy w Tatry, a od kilku lat korzystamy tam z wybornych dróg i wcale dobrych urządzeń, ale silnego ruchu turystycznego nie potrafiliśmy tam wytworzyć. Jesteśmy jeszcze zawsze zbyt ociężali, lub za mało ufamy, aby się poniesiony trud mógł opłacić. Cóż mówić o reszcie naszych gór, o Beskidzie, Pieninach i Karpatach, które tyle malowniczego piękna kryją w sobie na całej długiej przestrzeni aż po granicę bukowińską. Zapiszmy przeciwieństwo z uznaniem to, co dla turystyki naszej uczynili ludzie, rozumiejący jej wartość dla fizycznego i duchowego zdrowia społeczeństwa.

Kolosem prawdziwym na niwie polskiej turystyki jest Towarzystwo tatrzańskie, stare i zasłużone, posiadające w Zakopanem piękny dom własny, a w Tatrach utrzymujące szereg wygodnych schronisk. Z biegiem lat wytworzyło dwa oddziały po za Tatrami: pieniński z siedzibą w Nowym Sączu i czarnohorski z siedzibą w Kołomyi, posiadający obszerny drewniany „dworzec” w sercu huculskiej: w Zabiu. O ile turystyka tatrzańska jest, bądź co bądź, czemś realnem, o tyle w zupełnych powijkach znajduje się w ślicznych, niezrównanie malowniczych Pieninach, a zwłaszcza w pełnych romantycznej grozy górach wschodnio-karpaccich. Dla Pienin ruch ożywił się nieco ostatnimi czasy. Powstało

w Nowym Sączu Towarzystwo turystyczne „Beskid“, które po krótkim istnieniu samodzielnym połączyło się z oddziałem pienińskim na podstawie wspólnego statutu w jedną całość, jako oddział Tow. tatrzańskiego „Beskid-Pieniny“, obejmujący działalnością całą sądeczynę. Z prawdziwą radością dowiedzieliśmy się o istnieniu we Lwowie „klubu turystycznego akademickiego Związku sportowego“, który podjął świeżo niebywałą u nas trzytygodniową zbiorową wycieczkę przez całe pasmo Karpat od Dorna Watry na Bukowinie aż do Zakopanego. Program wycieczki obejmuje szereg najwznioślejszych szczytów karpaccich (najwyższy: Pop Iwan w pasmie czarnohorskiem, 2026 mtr.). Turyści przejdą Żabię, Worochtę, Tuchlę, Użok, Krynicę, Żegiestów, Rymaków, Iwonicz, Szczawnicę, Czorsztyn, posługując się, gdzie można, koleją, lub, jak na Czeremoszu i Dunajcu, łodziami. Z całego przekonania przyklasnąć można tej pięknej wędrowce, pierwszej u nas w tym rodzaju i na taką skalę.

W przeglądzie powyższym wyczerpaliliśmy wszystkie istniejące u nas organizacje, które uprawiają turystykę górską. Jest ich zawstydzająco mało, tak samo jak słabym ostatecznie musi się wydać efekt ich działalności, gdy uprzytomnimy sobie, jak wyjątkowo wdzięcznym terenem dla turystyki jest Galicja. Wymownie zaświadcza o tem fakt, że na południowo zachodnie jej okolice rozciągnęli działalność swą nawet Niemcy śląscy, których „Beskiden-Verein“ utrzymuje dla wygody swoich członków drogi i schroniska w białkiem, żywieckiem i wadowieckiem.

Skromniej jeszcze stosunkowo przedstawia się turystyka tam, gdzie chodzi o miejscowości, bogate w pomniki i zabytki przeszłości lub wogóle o wybitne ogniska narodowego życia. Nie mówmy już o tem, że do osobliwości należy galicyjanin, któremu nie jest obcem prastare Gniezno, lub tętniące nowoczesnym ruchem przemysłowym okolice prastare sąsiedniego Górnego Śląska, a zapewne także poznańczyk, warszawianin, lub litwin, który był bodaj raz w życiu we Lwowie, ale iluż galicyjan zna piękny, stary Cieszyń, ilu widziało wspaniałe zbiory w Podhorcach, ilu wie coś o przepysznych zabytkach Starego Sącza? Wszak cztery piąte krakowian nie zna oddalonych o pół godziny koleją kopalni wielickich. W ostatnich czasach rozwinął się dość żywy ruch turystyczny do Krakowa. Znacznemi partjami po kilkaset osób, przybywają wycieczki ze Śląska, z Galicji, rzadziej z Królestwa. Być może, że stanie się to punktem zwrotnym w ożywieniu tego odłamu naszej turystyki.

Ale cały ten obraz ujemny, jaki nakreśliłyśmy wyżej, przejdzie, być może, już niebawem do przeszłości i przed turystyką naszą otworzą się nowe, korzystne horyzonty. To, co tamowało dotąd jej prawidłowy rozwój: brak organizacji, obejmującej wszystkie jej gałęzie, zostało nakoniec

usunięte. Równocześnie powstały niespełna przed rokiem dwie zakrojone na wielką skalę organizacje: „Towarzystwo dla wzmocnienia ruchu turystycznego“ we Lwowie i „Krajowy związek turystyczny“ w Krakowie.

Ostatni, zwłaszcza, utworzony z inicjatywy p. Eustachego Chronowskiego, wykazał dużo żywotności. Na czele stoi jako prezes hr. Antoni Wodzicki, oraz liczny wydział, w którym godności wiceprezesów piastują: dr. Józef Muczowski i poseł Battaglia, skarbnika p. Chronowski. Doskonałym nabytkiem dla „Związku“ jest rzutki i energiczny jego sekretarz p. Z Rosner, który od sześciu lat już rozwijał w tym kierunku działalność na własną rękę, wydając w Krakowie „Przegląd zdrojowy i turystyczny“ i peryodyczny „Przewodnik po Galicji“.

Objęmując w zasadzie wszystkie gałęzie turystyki, „Związek“ postawił sobie za główne zadanie: ściągnięcie do nas cudzoziemców. Założony w sierpniu 1906, może się już dziś wykazać wcale poważnymi rezultatami. Zorganizował w Krakowie (pałac spiski) centralne biuro turystyczne, połączone z biurem kolejowym i wyłączną sprzedażą kart wstępu do salin wielickich, nadto dwie filie w samym Krakowie, oraz filie w Zakopanem (dworzec kolei), w Stanisławowie dla wschodniej Galicji i w Warszawie dla Królestwa (ul. Kotzebuego 4). Rozwinął szeroką akcję wewnątrz kraju celem osiągnięcia różnych ulg i udogodnień kolejowych, polepszenia dróg i osiągnięcia nowych połączeń telefonicznych. Na podstawie specjalnych ankiet przygotowuje wydanie spisu mieszkań letnich, który będzie wychodził co roku. Nadto jednorazowo wyda, przygotowaną właśnie do druku, publikację, która obejmie miejscowości, mogące służyć sportom zimowym. Rozwija agitację celem przekonania ogółu o korzyściach wzmocnionej turystyki. Bardzo pożyteczną może się stać w tym kierunku ogłoszona świeżo popularna książeczka p. t. „Jak zachęcić cudzoziemców do wjazdu naszego kraju“, która zawiera szereg elementarnych, ale, niestety, wcale nie zbytecznych u nas pouczeń o porządku i czystości, o urządzeniu mieszkań, o ułatwieniu komunikacji, o przewodnikach, o korzyściach z zadowalania się umiarkowanymi cenami, i t. d. Na wiosnę b. r. zwołał „Związek“ ankietę w sprawie rozwoju ruchu turystycznego, która obradowała w Krakowie z udziałem przedstawicieli władz pod przewodnictwem gorliwego orędownika turystyki naszej dyrektora kolei państwowych, radcy dworu Horoszkiewicza. Dla cudzoziemców przygotowuje „Związek“ wydanie przewodnika po Galicji w trzech językach: francuskim, angielskim i niemieckim; tymczasem zaś wydał ulot-

ne piśmko reklamowe, zawierające główne wskazówki dla osób, które pragną zwiedzić Galicję. Reklamę plakatową zainguruje barwny plakat Frycza, subwencyonowany przez ministerstwo, który rozlepiony będzie w całej Austrii i za granicą. Dla ściągnięcia obcych uprawia „Związek“ stałą reklamę anonsovą w pismach obcych, podając treściwie wiadomości o Krakowie, Lwowie, Wieliczce, Zakopanem, Szczawnicy i t. p. Wreszcie dla członków swoich (10 koron rocznie) uzyskał cały szereg cennych ulg i zniżek.

Wybornym pomysłem „Związku“ było doprowadzenie do skutku pierwszej gremialnej wycieczki do Galicji wyższych urzędników ministerstwa kolei, handlu i skarbu, od których parcia zawisło pomyślnie załatwienie wielu spraw, związanych z naszą turystyką. Trafiono przytem na moment korzystny, gdy rząd podjął akcję dla ożywienia ruchu obcych do Austrii. Gościom wiedeńskim pokazano w ciągu kilku dni zabytki Krakowa, saliny wielickie, Zakopane i Morskie Oko, Czorsztyn i Pieniny. Byli olśnieni polskimi wrażeniami i wyjechali z Galicji przekonani, iż także z austriackiego, ogólnopaństwowego stanowiska opłaci się tu uczynić niejedno dla rozwoju ruchu turystycznego.

Plon tej wycieczki nie dał zresztą długo na siebie czekać.

Już w kilka dni po powrocie jej uczestników do Wiednia ministerstwo kolei wysłało do Galicji jednego z wyższych urzędników z poleceniem, aby zarządził wykonanie szeregu zdjęć fotograficznych, na podstawie których wydane zostanie album widoków galicyjskich i rozpowszechnione za granicą za pośrednictwem konsulatów austriackich. Ponadto żądano przedłożenia sobie natychmiast szczegółów, odnoszących się do projektu budowy kolei z Nowego Targu do Czorsztyna i z Nowego Sącza do Szczawnicy. Obie te tak ważne linie kolejowe, projektowane oddawna, nie mogły się doczekać, aby się zainteresowała nimi najwyższa władza kolejowa w Państwie. Obecnie, gdy przedstawiciele jej naocznie przekonali się, przez jak czarująco piękne okolice przechodziłaby ta kolej, uznano ją w ministerstwie za „erstklassige Touristenbahn“. Wreszcie ministerstwo skarbu zainteresowało się ogromnie sprawą regulacji Dunajca, na którego falach pojawi się może już w niedalekiej przyszłości jedna łodź parowa.

Praca „Związku turystycznego“ zapowiada się więc niezwykle obiecująco. Miejmy nadzieję, że ogół nasz potrafi ocenić jej wartość i we włas-



Widok z Tatr.

nym interesie będzie się starał ułatwiać „Związkowi“ na każdym kroku spełnienie jego zadań.

Kraków.

Clarus.



Z miłosnych pieśni ludowych japońskich.

W cichy — letni mrok wilgotny —
W izbie wonnej i samotnej —
Tam — kochanków siedzi dwoje:
W dali inne lśnią pokoje,
Skąd im lutni płyną dźwięki:
A tu ręka szuka ręki,
A tu oko patrzy w oko —
W źrenic czarnych treść głęboką.
— Ogień z lodem, o kochany,
Krew mi wstrząsa na przemiany.
O kochanku mój, spraw lepiej,
Niech mię w grobie śmierć zasklepi!
— Przestań! Dobro jest na świecie.
Śmierć zamraza każde kwiecie,
Lodem ścina śmierć owoce,
Są słoneczne słodsze moco!
O nie będziesz, luba, dłużej —
Znosić cierpień takich burzy.
I obejmie dziewczę z żarem —
Pieszczot karmi je nektarem
I porywa je w ramiona,
Aż omdlewa upojona.

Na kwitnących brzoskwiń bieli
Jeszcze świeża rosa leży:
Dziewczę wstanie z swej pościeli,
Do ogródka skrycie bieży.

I z gałęzi chwyci wianka
Przed lusterkiem go postawi:
Kto ładniejszy? do kochanka —
Ja czy kwiat ten? mów — tak prawi.

Chłopiec na to: Nad brzoskwinie
Piękniejszego nie masz kwiatu!
Gorzko słyszeć to dziewczynie —
Więc mu w złości figla płata.

Gałąż rączką małą gniecie —
I tak na niej gniew wywiera:
Do nóg chłopca rzuca kwiecie,
Zimno w oczy mu spoziera!

Jeśli bardziej cię weseli
Kwiat nieżywy, niż kochanka:
Weź go z sobą do pościeli,
Pieść go sobie do poranka.

Przetłumaczył z niemieckiego A. Lange.

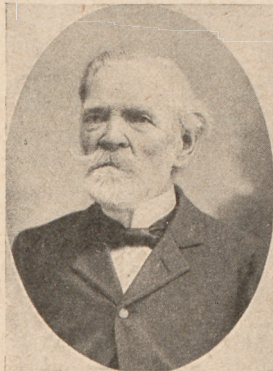
Najstarszy z żyjących malarzy polskich.

Młodsze pokolenie zapomniało o nim. A jednak temu blisko dziewięćdziesięcioletniemu starcowi należy się

pamięć, raz, że był obywatelem, gorąco kraj miłującym, i powtóre, że sztuce polskiej zaczął służyć w czasach, kiedy ta sztuka pierwsze kroki dopiero stawiała.

Polikarp Gumiński urodził się w r. 1820. Jako młode pacholę patrzył na wypadki 1830—1 roku. Gdy zdradzał we wczesnym wieku talent do rysunków, po ukończeniu szkoły Kokolewa, wysłano go do Düsseldorfu, by się kształcił w malarstwie; piękna przyszłość zdawała się otwierać przed artystą. Ks. Paskiewicz kupił jego obraz i obiecywał stypendyum rządowe na dalszy pobyt za granicą. Ale nadszedł rok 1848 i Gumiński miast pendzla, wziął broń do ręki, wstąpił do szeregów Mierosławskiego, walczył mężnie pod Wrześnią... Odpokutował więzieniem w Kistrzyniu, trzyletnim pobytom w Magdeburgu. A gdy wreszcie pozwolono mu zamieszkać w Poznaniu, władze pruskie nie przestały otaczać artystę szczególną opieką. Opieka ta niebawem wydała swe skutki.

Gumiński namalował obraz, przedstawiający Najświętszą Maryję Pannę, jako Królowę korony polskiej. Obraz ten zobaczył ówczesny prymas gnieźnieński, ks. arcyb. Przyłuski i nabył go za 200 talarów. Ale o malowidło tem dowiedziały się niewczesnie władze pruskie. Dopatrzyły się w nim prze-



Polikarp Gumiński.

stępstwa politycznego i polecieli artyście opuścić niezwłocznie Wielkopolskę. Ks. arcybiskup wobec tego nie mógł włączyć obrazu do swej galerii i zrzekł się kupna. Malarz dostał za swe kapitalne dzieło zaledwie 110 talarów.

Udał się do Paryża i tam począł malować obrazy, przeważnie na tle ostatnich powstań osnute. Przed czterdziestu laty otrzymał pozwolenie powrotu do kraju. Odtąd wiedzie cichy żywot w Warszawie. Dziś starzec sędziwy, wysłuchawszy się ojczyźnie i sztuce, cierpi niedostatek. Osłabł na oczy, pracować nie może. Czy



P. Gumiński. N. Marya Panna, Królowa Korony.

nasze instytucje artystyczne nie powinny zająć się losem weterana? k.



Z cyklu „Psyche w pajęczynie“.

Menuet Mozarta.

Skrzypek czarodziej gra.

Szara, jedwabista materya gobelinu, zjedzona przez wieki, zblaknięta — zakolysała się, zafalowała i pękła.

Wielkie, lustrzane szyby złoczonej sali drgają miriadem iskier, w szklach weneckich w miriady odbitych, białą śnieżnych ramion i brylantami rozsypanymi na nich i na włosach pudrem srebrzonych.

A puder ten srebrny lata nieuchwytnie w powietrzu i z tysiącem zapachów różnolitych zmieszany kołysze się na nich niby tuman wonny.

Ludzie sąż czy motyle? ci srebrnowłosi w różowych jedwabiach, śnieżnych koronkach, atlasach jak woda morska, pellach bursztynowych, szkarłatnych, mieniających się i jakby zasnutych leciuchną mgłą, co ich stapia w jedną olbrzymią falę łamli-

wą, połyskliwą, barwną i bladą, skrzącą się i zamierającą razem.

Ludzie są czy motyle? czy może tylko wielkie émy nocne melodyą i blaskiem niezmiernym z dalekich światów na chwilę pod to światło przywabione.

Oto z par powiązanych ze sobą spojrzzeniami i uśmiechami—drobnie przejrzytymi dłońmi splecionych, wykwita rytm płynny menueta, oto się na fali melodyi dalekiej, nieuchwytniej kołysze.

I sypie się w powietrzu napoły z listkami róży—od alabastrowych łon oderwanymi—niby piasek wielkiej niewidzialnej klepsydry rozkoszy i na tumanie z woni się kołysze, a przezeń—jak przez sito—sieją się szepty, uśmiechy, spojrzenia i owo światło ogromne w miriadach gwiazdek na kryształach i brylantach rozpylone.

Cisza na pół technienia motyla... pauza dalekiej nieuchwytniej melodyi i—ukłon. Wysokie upudrowane spłoty, krótkie upudrowane peruki chylą się ku sobie i przed sobą kornie a miłośnicie:

Kocham cię!

I ja... prawie!

Potem znów z hamowanym ogniem ujmują się dłonie, obejmują ramiona.

Dlaczego... prawie?!

„Kocham innego w tej chwili—ćwierć serca poświęcić mogę—więcej nie... Ale tout passe! przyjdź później, pamiętaj!...“

Ostatnie słowo roztapia się w obłoku pudru, listków róży, woni, melodyi—i westchnieniem ginie. Znów ukłon długi, królewski—treny starbarwne zmiatają kwiaty wędnące z lśniącej posadzki:

Changez les dames!

Żabot koronkowy pędzącego jak słońce pazia gnie się przed drugą damą:

„Piękna! przyjm mnie na rycerza przez jedną wiosnę miłości!“

„Chciałabym zaznać co wieczność, nie znoszę terminów!“—szepczą kapryśnie maleńkie, w serduszko malinowe wpięte, usteczka.

I fruwała jak motyl złoty w strońę dawnego tancerza, z uśmiechem na wargach, życzenia wieczności w kochaniu już nieporna.

Pauza melodyi—ukłon długi, nieskończony akord, jak sznur pereł rozsypanych splata ich znów ze sobą.

— Tańczmy! Życie jest w jednym uśmiechu, w kwiecie, co ginie od śnieżnego odrywając się łona, w kropki tężowej piany szumiącej z dna kryształowej czary szampana!

Niech żyje piękność, młodość, kochanie!

— Tańczmy!

I tańczą.

W głębi majaczej srebrne stoły, opalowo-złotą zastawą obciążone, perli się falerno, jak szmaragdy i topazy zwieszają się winne grona z czar ametystowych i onyksowych; jabłka zrumienione, jabłka przecudowne—rajskie może—się kołyszą. Pomarańcze i granaty ociekają purpurą wnętrzy rozwartych; całe budowy cukrów, przezroczystszych od kryształu, całe kosze ciast przesłodkich wabią oko—a wszystko roziskrzone miriadem światel odbitych, wonią stukwiczną przepojone—bzem i różą osypane i mgłą nieuchwytną pudru przesłonięte.

A nad stołem parę wielkich ciem nocnych, ciem tężoskrzydłych, z rozjaśnionych słabo gwiazdami mroków parku zleciawszy, zwabione temi słońcami sztuczniemi, kołysze się w wabiący takt melodyi.

Stoły czekają na znużonych biesiadników. Bo płyną oni, wciąż kręgi zataczając świetlne, lecz bledsze już twarze niewiast pod różem i pudrem, jakby półomdlałe od pieszczoł niewidzialnych, jakby upojone wonią płynącą z fryzur cudownych i łon alabastrowych, kwiatami przykrytych, a same jak kwiaty rozkwitłych.

Oczy tajemniczych paziów i zaklętych królewiczów z bajki dziwnie tajemniczo migocą. Szepty cichsze—a namiętniejsze i gorętsze zarazem—szemrzą.

Melodya zamiera na pół sekundy—ukłon.

„Kocham Cię!“

„Dziś czy zawsze!“

„Zawsze!“

„Ty i słowo zawsze, o ironio!“

„Jednak... kocham!“

„Znam cię... pragniesz!“

„Jedno i to samo!... więc dziś czy zawsze?“

„Nie wydzierajmy tajemnie przyszłości—lubię!“

„Powiedz: kocham!“

Popłynęła jak ta éma skrzydłata kołysząc się na melodyi falach i owo „kocham“ oczekiwane, co już na jej ustach—pąkach żywego granatu—wykwitło, szepcze drugiemu czarnookiemu młodzieńcowi, do koronkowego jak piana żabotu przytulając się w okręgach tańca. A jemu serce motyla bije jeszcze z upojenia, bo oto przed chwilą ustami musnął w przelocie jeden kochany splot włosów srebrnych innej tancerki.

A mgła pudru lekka jak nieuchwytna śnieżycza kołysze się na fali melodyi i pachną róże opadając z łon odkrytych na ziemię i oczy żółte narcyzów z waz emaliowanych patrzą nieruchomo.

A melodya się rozlewa coraz ogromniejszą falą, jakby dech włas-

ny, duch uciekającej rozkoszy, uchwycić chciała;—wir tężowy napoły ludzkich, napoły motyli postaci szybszym się staje, wzmaga się, rośnie; zaciskają się drobne dłonie, falują piersi cudowne, migocą silniej od najjaśniejszych brylantów źrenice i przenikają się wzajem rozkoszą upojone; stopy nie tykają ziemi, a róże się sypią, a wonie krążą, a puder srebrny się unosi w powietrzu rozgrzanem.

Pauza—ukłon ostatni, długi jak wieczność—i kaskadą tonów cichnącą nagle, spłoszoną, zmrozoną tchem jakimś obcym, z dalekiego świata przybyłym, omdlewa akord ostatni.

Mgła z pudru gęstnieje, róże bledną i sypiąc się zamiecią jasnokoralową macą powietrze i miriady światel w kryształach i brylantach odbite rozplywają się niby krople rosy, gdy w nie wiatr chłodny uderzy. Nie widać już prawie biesiadnych stołów z purpurą granatów i szmaragdem gron winnych, nie widać ust malinowych, oczu niebieskich, uśmiechów sennych i wszystko zlewa się ze sobą, omdlewa, zamiera—znika.

Znikło!

Szara, jedwabista, spopielała przez wieki, niby przedza pajęczca, zasłona wyblakłego gobelinu zaciągnęła wszystko.

Co to?

Ach, to Mistrz przestał grać.

Anna Kłopotowska.

Z paryskich „Salonów“.



A. A. Gordonnier. Ofiara.



Café Riviera.

W Landwarowie.

Pańskie fantazyje naogół złą mają sławę... Są niby synonimem pomysłów dziwacznych, a nikomu niepotrzebnych. Niema jednak reguły bez wyjątków... Jeśli nie wierzycie, przyjdźcie do Landwarowa.

Któż nie wie, iż Landwarów jest ową piękną siedzibą pod Wilnem, w której przemieszkuje jej obecny właściciel Władysław hr. Tyszkiewicz, ożeniony z księżniczką Lubomirską, były poseł warszawski do Izby Państwowej, eksprezes warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i rolnictwa.

Jedna to z najpopularniejszych i, powiedzmy szczerze, najsympatyczniejszych postaci wśród naszej arystokracji. Człowiek o zawsze pogodnej twarzy i, co ważniejsza, zawsze pogodnej duszy...

Z tą charakterystyką moralną hr. Władysława Tyszkiewicza w doskonałej pozostaje harmonii ów zakątek uroczy, w którym wszystko przystosowane jest do upodobań właścicieli.

Nad ogromnym jeziorem park przepyszny z kilku złożony części różnorodnych, upiękaszony przez naturę równie jak sztukę; wśród parku pałac, prawdziwa rezydencja lordowska, okazała i poważna, strzelistą wieżą wybiegająca wzniosł nad wierzchołki najsmuklejszych topoli.

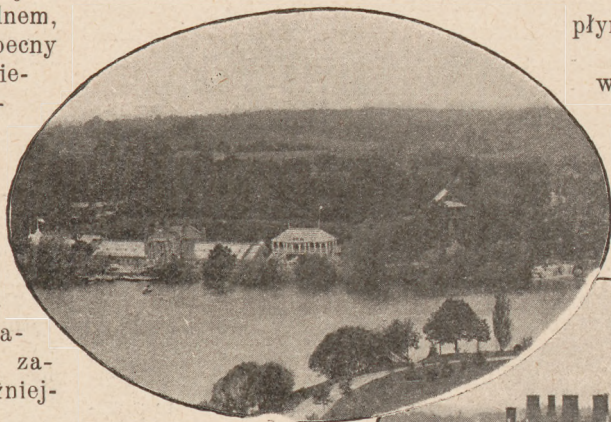
W tym to zamku pędzi życie hrabiowska rodzina, hołdująca nie tylko pięknu, czego ślady w urządzeniu apartamentów—poprostu bajecznym, ale i sportowi...

Szczególniej pani Tyszkiewiczowa pasjonowana jest w tym kierunku

niezmiernie i przed kilku laty dokonała śmiałej wyprawy konno późną jesienią z Wilna do Warszawy.

— Okrótnie to była facygująca historia — opowiada hr. Władysław, przypominając sobie ową eskapadę, której o mało co ciężkiem nie przypłacił niezdrowieniem...

Obecnie o tak forsownych wy-

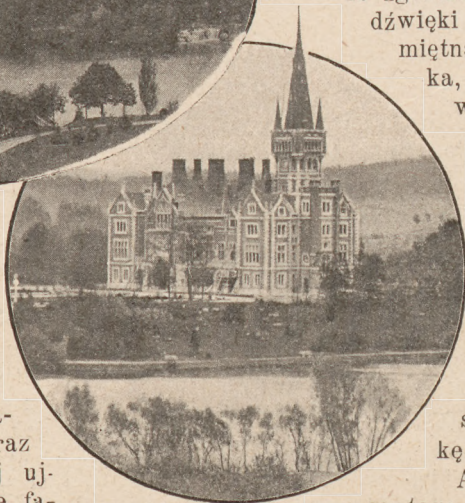


Brzeg jeziora

cieczkach nie sły chać jakoś w Landwarowie, tem nie mniej jednak rasowych rumaków bez liku stoi we wspaniałych stajniach, które raz w życiu przynajmniej ujrzyć powinni panowie fabrykanci, budujący... robotnicze domy...

Dobrze jest mieć przed oczyma ideał choćby niedościgły.

Ze stajen landwarowskich nie mało idzie rasowych wierzchowców nawet w daleki świat, a licytacja na konie, odbywająca się tu w lipcu, jest rynkiem, na którym znajduje się okazy wyborowe.



Pałac w Landwarowie.

Ale nie pałac i nie stajnie landwarowskie sprawiają, że miejscowość ta w tej chwili jest na ustach całego Wilna. Jest tego inna przyczyna, jest nią jedna właśnie z tych pańskich fantazyj, o jakich wspominałem na początku.

Zachciało się pewnego pięknego poranku właścicielom Landwarowa uczynić park swój cudnym miejscem spoczynku dla duszącego się w letnim skwarze i zaduchu Wilna, zachciało im się nadto wyposażyć park ów w atrakcję, któraby *volens nolens* wyciągała tu wilnian z ich ciasnych miejskich mieszkań i zachęciła do nieco dalszej wycieczki... do wędrówki nad brzeg landwarowskiego jeziora.

Atrakcją tą stała się przesliczna letnia kawiarnia, którą niemałym kosztem urządził hr. Tyszkiewicz na ginącym w zieleni jeziornym wybrzeżu, nazwawszy ją słusznie całkiem „Café Riviera“...

I oto mamy riwierę tuż pod Wilnem.

— Jadę na riwierę, powróciłem z riwieri—słyszy się co chwila teraz na wileńskich ulicach; myślałby kto, że to miasto magnatów, spędzających miesiące całe w Nicei... A to mowa o tej naszej landwarowskiej riwierze, tuż obok...

I mogę was zapewnić, że i tu płynie czas doskonale.

Siedzi sobie człowiek nad wielką wodą, zapatrzony w dal — a przed nim szklanka doskonałej kawy, lub nawet wina (i restauracja jest również), do koła grupy drzew starych, przepysznych, ze zgrabnej estrady płyną dźwięki mandoliny i namiętna włoska piosenka, śpiewaków bowiem sprowadzono niepowszednich. I tak leżą godziny w słodkim zapomnieniu, że o 20 wiorst jest duże i męczące miasto, w którym każdy z przyjezdnych zostawił jakąś troskę i kłopoty.

A zasłużony twórca tego cichego azylum, raz w raz przesuwa się przez swą „riwierę“, usmiechając się pod sumiastym wąsem z zadowolenia, że za jego sprawą tylu ludzi znajduje teraz dobre chwile w Landwarowie...

Pomysł hr. Tyszkiewicza ma zresztą i dla samego Landwarowa niemałe praktyczne znaczenie, czyni on bowiem z tej miejscowości nie-

wątpliwie jedno z najprzyjemniejszych letnisk, jakie można u nas w kraju znaleźć.

Trzeba dodać, że w święta na „Riwierze“ odbywają się przedstawienia przeróżne—wówczas gwarno tu i ludno ogromnie... może za ludno; kto chce wypocząć i odetchnąć powietrzem przeczystem i rozkoszować się spokojnie kawą, muzyką i naturą—niech tu przyjeżdża w dzień powszedni—jako to ja uczyniłem.

Wilno.

W. B.



Dzi-litsu.

Egzotyeczny ten japoński wyraz od niedawna w całej Europie zyskał prawa obywatelstwa. Wojna z Rosją przekonała Świat, że niepozorni poddani Mikada tworzą naród bardzo zdolny i pod każdym względem niezwykły, od którego wielu rzeczy nauczyć się można. I to we wszystkich dziedzinach życia, począwszy od sztuki, kończąc na zapaśnictwie. Obecnie miłośnicy walk zapaśniczych wszystkich krajów ćwiczą swe muskuły w kunszcie Dzi-litsu.

Jest to japoński system walki ręcznej, ciekawy już choćby przez to, że siła fizyczna odgrywa w nim rolę drugorzędną, na pierwszy zaś plan wysuwa się zręczność i subtelna znajomość budowy ciała ludzkiego. Właściwie na tej znajomości głównie cała sztuka się opiera. Charakterystyczna rzecz dla narodu, który wydał tak znakomitych rysowników.

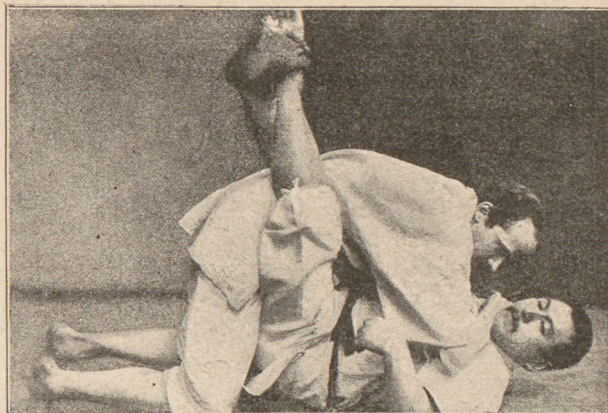
Wiadomo, że wrażliwość ciała ludzkiego jest bardzo nierównomierna. Po-

siada ono miejsce słabe i specjalnie na ból wrażliwe. Otóż cios stosunkowo lekki nawet, ale umiejętnie w takie miejsce wymierzony, może obezwładnić odrazu silniejszego, nawet przeciwnika. I to jest punktem wyjścia japońskiej walki, która sztuką i podstępem stara się zrównoważyć możliwy brak siły.

Zalążone przez nas ilustracje przedstawiają walczących na sposób japoński zapaśników w kilku najbardziej używanych przy Dzi-litsu pozach.

Sposobów posiada ta walka mnóstwo. Jednym z najbardziej rozpowszechnionych jest np. chwyt za rękę, który w jednej chwili paraliżuje ruchy przeciwnika i naraża go w razie gdyby się chciał dalej opierać na pęknięcie kości. Wszystkie wogóle uderzenia stosowane przy Ipi-litsu są niesłychanie bolesne i niebezpieczne, gdyż właściwie takie tylko uznaje owa metoda wymyślona nie dla rozrywki sportowej, lecz dla rozpaczliwej obrony przed przewagą siły fizycznej. Zapaśnicy japońscy ćwicząc się w Dzi-litsu pracują również usilnie nad możliwie jaknajwiększym zahartowaniem ręki, dochodzą z czasem do tego, że muskuły ich dłoni nabierają twardości drzewa.

Oczywiście nie możemy się tu zapuszczać w szczegółowy opis wszystkich sposobów i podstępów walki. Ciekawość pod tym względem zaspokoić łatwo zresztą, ponieważ Dzi-litsu posiada już bogatą literaturę. Mamy i w polskim języku broszury i podręczniki tej nowej gałęzi „wiedzy“. Bądź co bądź



Powalenie na ziemię.

jako sposób obrony przed niespodziewaną napaścią metoda japońska jest nieoceniona i stosować ją można z powodzeniem wszędzie, za wyjątkiem, ma się rozumieć, Warszawy. Tu „swojskie“ browningi naszych bandytów nie ulegną się Dzi-litsu.

p.



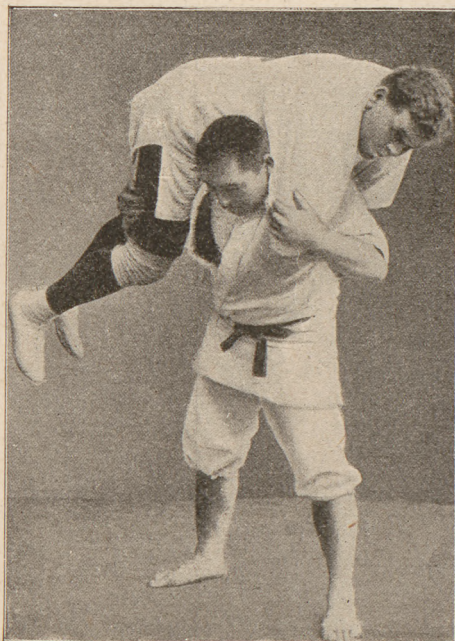
Z literatury.

Wacław Rogowicz. „PROSCENIUM“, Warszawa 1907. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.

Niewielki tom, na który się złożyły utwory różnej treści, pisane w różnych latach. Mamy tu przepyszną satyrę, ujętą w formę dość przejrzystego symbolu, („Bajka o dwóch braciach, o kwiatach i o rzepie“), w której autor w sposób nader oryginalny obrazuje życie poety i przeciętnego „człeka“ czyli filistra. Rzecz głęboko odczuta i utrzymana w tonie, pisana zaś była wówczas, gdy nawet w sferach kulturalnego odłamu naszego społeczeństwa panowało wyraźne niezrozumienie tego, co jest kwiatem w sztuce, a co jest jej surrogatem... tandetą. Prześliczną prozą pełną nastroju również symbolicznego napisany jest poemat p. t.: „W dzień on...“ „Na czasie“—to kawałek dramatu z życia literata, mocującego się z ciężkimi warunkami bytu. Smutne, ale prawdziwe. W tym utworze autor dowiódł, że potrafi stworzyć doskonałą w treści i w formie nowelę. „Przed obliczem nadziei“—szkic, w którym liryzm miłosny połączony jest w nadzwyczajnie ciekawy sposób z realizmem, ale nie tym brutalnym zewnętrznym, co duszę subtelną razi, a z owym wewnętrznym, który każe domyślać się tragedii. Czytając ten opis wielkopańskiego parku, w którym grobowy smutek opuszczenia zda się królować, poddajemy się mimowoli melancholii, płynącej ze źródeł beznadziei. Martwą naturę Rogowicz przedziwnie umie ożywiać. Zna-



Powalenie za pomocą przestawienia punktu ciężkości.



Wzniesienie do góry metodą japońską.

laża się w tym tomie także drobnotka, w której wybornie został pochwycony moment aktualnego rozgardyaszu politycznego. Nie opuszczający prawie nigdy autora ton ironii subtelnej wyraził się w onym panu Piotrze, co to koniecznie chciał stworzyć swoją własną partię polityczną, oznaczoną trzema złowrogami dla nas literami H. K. T. Pan Piotr myślał o hakatyzmie polskim, a radykalny dziennik „Chłosta“ wyłomaczył publiczności, że to partya: „Harmonii Konserwatywnych Tchórzów“. Bogaty ma repertuar autor „Proscenium“, skoro umiał w „Matce“ tak prawdziwie odtworzyć jakoby w wagonie posłyszane opowiadanie kobiety z ludu o losach swoich i swojej rodziny. W tym obrazku ciekawą jest psychologia traktowana szeroko i szczerze, zwłaszcza w zakończeniu. Opis nastrojowy „Sosna“ i symboliczny utwór „Ta ostatnia“ dopełniają Proscenium. Tak, ten tom pobeżnie przez nas zanalizowany doskonały tytuł nosi dla dwóch względów. Daje on niejako scenę życia, na której przesuwa się kolejno, w poetycki kształt ujęte, rzeczywistość i marzenie. A powtóre — z tego proscenium sam autor pokazuje, co napisać potrafi, jaką treść ma w sobie i w jaką formę prozy tę treść zaklinać jest w stanie.

Rogowicz ma tę zdolność rzadką pośród autorów, że uderza we właściwy ton, że wyczuwa wartość słowa, że wreszcie nie rozwadnia treści, a kondensuje ją. Stąd ta zwięzłość stylu, stąd to skupienie i sumiennosc w opracowaniu szczegółów. „Matka“ np. to ciekawy temat do dużej powieści, to naprawdę powieść duża, chociaż w taką drobną ilość stroniczek ujęta. Rogowicz się boi nadużywać słowa, jest oszczędny w zwrotach, niemal skąpy. Proscenium świadczy o tem, a zarazem świadczy o niepowszedniem i obdarzonym dużą skalą twórczości autorze, od którego radziłyśmy się doczekać większego utworu, na co go niewątpliwie stać.

A. Miecznik.

TEATR POLSKI NA LITWIE 1784—1906 Mieczysława Rulikowskiego. Wydawnictwo Kuryera Litewskiego. Wilno 1907 r., str. 95.

Jest to ustęp z dziejów cywilizacji polskiej na Litwie, tej cywilizacji, która przez parę wieków dokonywała podbojów pokojowych. Rzeczy rusyfikacyjne zniszczyły jej pracę u podstaw, zgasiły dawne świetne ogniska, niedając nic w zamian po za sferą lichej, oficjalnej szkoły, przesiąkniętej duchem policyjnym.

Obecnie, gdy Teatr Polski w Wilnie odżył na nowo, p. Rulikowski postarał się zebrać i wskrzesić wspomnienia drogie sercu polaków litewskich. W rozdziale I-ym mamy tu ciekawy obraz działalności różnych scen przygodnych i amatorskich przed inauguracją stałego teatru w Wilnie. Dowiadujemy się tedy o dyalogach wyprawianych przez Jezuitów, o teatrze w Nieświeżu, założonym przez księżnę Franciszkę Urszulę Radziwił-

łową, która zasilala tę scenę własnymi pracami i przekładami. Autor zebrał następnie dane o innych, czasowych teatrach prywatnych, w różnych miastach i miasteczkach. Istnienie tych scen świadczyło o rosnącym wciąż zamiłowaniu do szlachetnej, artystycznej rozrywki. Założycielem stałego teatru w Wilnie był twórca sceny polskiej Wojciech Bogusławski, dzielny, niezmordowany artysta, pisarz i organizator, który w najcięższych przejściach nie tracił otuchy i energii. Autor kreśli barwnie zmienne koleje walk jego i trudów, a potem snuje wątek opowiadania aż do r. 1861, w którym na teatrze wileńskim odbyło się ostatnie polskie przedstawienie. P. Rulikowski zebrał skrzętnie ze wszystkich źródeł dane faktyczne i wspomnienia, przeplatał je zgrabnymi arabeskami anegdot z życia obyczajowego; Książeczka jego pisana łatwo, potoczyscie, czyta się zajmująco, a jest w swoim zakresie cenną i miłą monografią.

J. K. K.

WIĘZNIĘ, widowisko, napisał Juliusz German. Lwów, nakładem księgarni H. Altenberga, 1906 r., str. 154.

Kto są ci więźnie? W jakim zamknięci więzieniu? Trudno się domyśleć z tego „widowiska“, pisanego mglisto, ładnym i dźwięcznym wierszem. Więźniami w sztuce p. Juliusza Germana są prawdopodobnie dusze ludzkie, cierpiące i tułacze wśród wędrówki żywota, zapelnionego udręczeniami miłości. Młodzieniec bogaty Heliusz wraca po latach tułaczki do swej Syrenki, która go zdradziła z jakimś nieznanym w chwili zmysłowego kaprysu. W akcie II wyprawia biesiadę, po której razem ginie w płomieniach własnego pałacu z kochanką, zgadzając się na ten sardanapalowy wybryk. Później bohaterem dramatu staje się poeta Fijołek, który komponuje istnie piękne i pełne kolorytu sceny dramatyczne o królu Dawidzie, zamieniające się jakimś cudem w wyraźne, sceniczne wizye. Fijołek także kończy marnie, opuszczony przez kochankę Ninie. Straciwszy wszystko, umiera, wlepiając wzrok w widmo upioryczy Dziewczynki. Snuje się ono po całym dramacie razem z symboliczną postacią Latarnika, który uosabia wieczystą tęsknotę czy samotność duszy ludzkiej i zjawia się zawsze przed śmiercią czyjąś. Kończy sztukę Młodzieniec, postać świetlana, anielska, głosząca miłosierdzie i przebaczenie dla obłądów miłości. Zapowiada on także dalszy ciąg ludzkiego bytu w żywotach zagrobowych. Sceny i postacie snują się i majaczą w pół-szwietle księżycowem wśród cieniów i mgieł melancholii. Trudno wyczuć i ująć logikę poematu, którego postacie dają się powodować pobudkami niewytłomaczonymi. Poeta ubiera swą sztukę w stroje z początku zeszłego stulecia, ale objaśnia we wstępie, że jej sceny i postacie są „wyniszone z dni dzisiejszych“. Wśród arabesk kapryśnych, słów i czynów nieokreślonych, czytelnik znużony

i niemogący się zorientować, spotyka kilka pięknych ustępów lirycznych.— Autor jest poetą—to prawda, ale czas już, aby zaczął lepić swe pomysły, nie z samej tylko mgły i galarety.

J.

Z franc. romansopisarstwa.

„ZBUNTOWANA“. Marceli Tinayre.

Można śmiało powiedzieć, że na 100 romansopisarzy francuskich, przynajmniej 80 haftuje swą opowieść erotyczną na tle modnej „kwestyi kobiecej“ i „reformy małżeństwa“. Cały postęp w tym kierunku jest dla nich kwestyą mody, tematem do zrzecznego dowcipu, motywem mistrzowskiego, iście francuskiego paradoksu. Ślizgając się po powierzchni nowych prawd, nie zgłębiając sumiennie żadnego problemu—snują opowieść ciekawą, zajmującą, aktualną, która będzie tematem rozmowy na wszystkich *jour'ach* i *clock'ach* i da pole do najbardziej interesujących zestawień z rzeczywistością.

Marceli Tinayre w sposób ogromnie ciekawy, zajmujący, maluje środowisko pisemka kobiecego i atmosferę „feminizmu“. Bohaterka romansu, owa „zbuntowana“ pracuje w redakcyi Amazonek, smaly artykuliki, biega na interwiewy, fabrykuje literaturę mocną i wdzięczną. Po za tem ma chorego męża i jeden romans, a potem już nie ma męża ale za to ma drugi romans. Tym razem kocha się w doktrynerze nowych zasad, w entuzyaście feminizmu, w autorze słynnej książki o kobiecie pod tytułem „Robotnica“. Za każdym razem wydaje jej się, że kocha naprawdę, a jednocześnie buntuje się przeciwko odwiecznym prawom miłości, które czynią kobietę niewolnicą mężczyzny...

Z duszą pełną nęcącej muzyki nowych, postępowych hasel o emancypacyi, ulega nie bez rozkoszy sile uczucia, pragnie nawet dobrowolnego oddania się pod panowanie silniejszego, a ukochanego człowieka.

„Naprawdę!—woła — w chwili ekstazy — chcę cię nazywać swym panem, boś silny, dobry i bo cię Kocham... Dlatego, choć mogę żyć sama i bez opieki, wolę żyć z tobą i dla ciebie...“

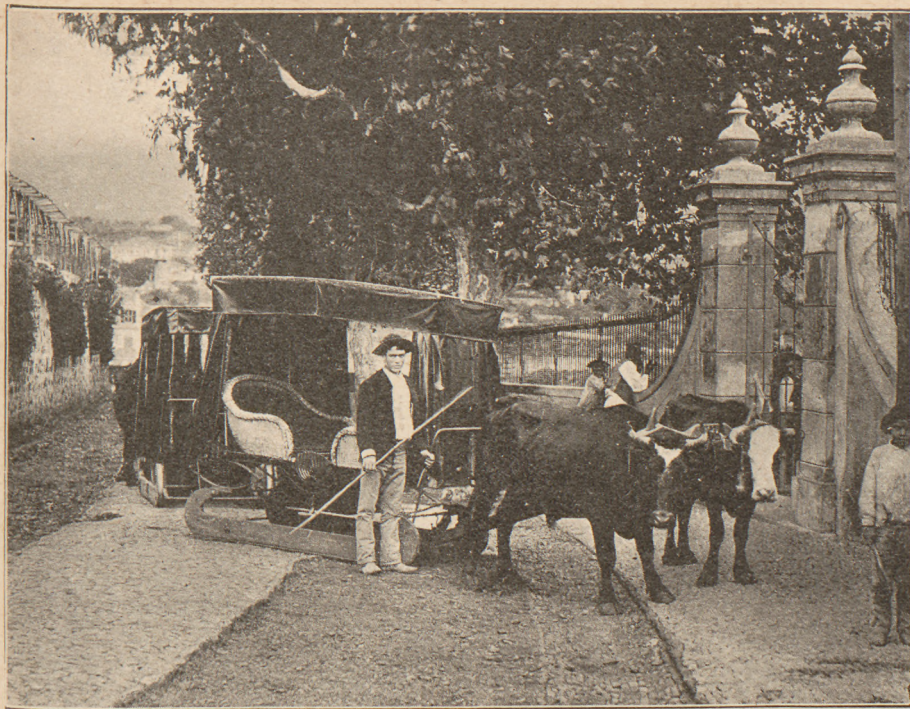
I romans tych dwojga ludzi kulturalnych, można powiedzieć przekulturowanych, zmęczonych samoanalizą i skrupułami psychologicznymi, maluje autor z wdziękiem i z dużym talentem, czyniąc ich sympatycznymi, mimo snobizmu i niekiedy przesady.

Z subtelnością traktowany jest znamieny dualizm Josanny, dualizm, który ją przyprawiał o mękę wewnętrzną i był powodem wszystkich erotycznych komplikacji. Oto żyły w niej dwie istoty: jedna, ta „zbuntowana“, domagająca się swych praw, pragnąca się wyzwolić i żyć w swej dumnej samotności zdala od mężczyzn, którzy szukali przy niej li tylko rozrywki i podniety—i druga, ta słuźalcza, która w głębi duszy kryła ogromną, palącą potrzebę łez, pieszczot, a nawet udręczeń miłosnych...

„Nosimy na sobie wszystkie piętna niewolnictwa — woła panna Bon, jedna z bardziej zagorzałych kochania i cierpienia dla tego, którego Kochamy, potrzebę posłuszeństwa i potrzebę przebaczenia... Wszystkie mamy, Kochając, tę samą smutną wyrozumiałość...“

Z—a.





Sanie ciągnięte przez woły, to fiakry maderskie.



Górskie potoki spotykamy na każdym kroku.

W krainie wiecznej wiosny.

(Ulotne kartki z podróży).

W powrocie z wysp Kanaryjskich, zajęliśmy na Madere, gdzie według programu z góry zakreślonego mieliśmy bawić trzy dni. Zaledwie nasz biały statek „Ile de France“ zarzucił kotwicę naprzeciw stolicy wyspy Funchal'u, chmura malutkich łódek go otoczyła, a na każdej po dwóch, trzech maleców w strojach kąpielowych, krzyczą, proszą, by rzucano monety do morza. Posypały się drobniaki, z których żaden do dna nie doleciał. Mali nurkowie chwytały je w wodzie z zadziwiającą zręcznością.

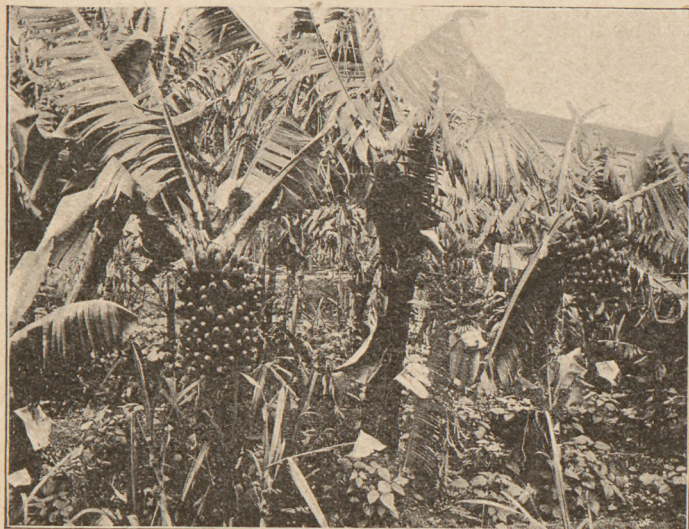
Zamiast opisu Madery, w paru słowach tylko powiem, że te cztery dni spędzone w krainie „Wiecznej Wiosny“ przeszły nam jak sen. Oddychaliśmy powietrzem, przesyconem wonią kwiatów. Podziwialiśmy florę świata całego, zebrałą na tak małej stosunkowo przestrzeni. Leniwie rozparci w wygodnych saniach, które ślicznie płowe woliki, stępa, klusem a nawet galopem po ulicach miasta ciągnęły, odpowiadaliśmy uśmiechem na

grzeczne ukłony witających nas do koła; to znowu na dzielnych i pięknych rumakach wspinaliśmy się na szczyty, półtora tysiąca metrów sięgające. Jadąc do cudownej miejscowości „Grand-Curral“, żalowaliśmy szczerze naszych towarzyszy podróży, którym brak odwagi lub wprawy nie pozwalał odbyć konno tej wycieczki jednej z najpiękniejszych na świecie. Minęliśmy już chmury; coraz dzikszy krajobraz przed nami się rozciąga, zewsząd skały, przepaście szumiące potoki, wodospady, aż oto nad jednym z nich w białym palankinie, niesionym przez dwóch pięknych i barczystych wyspiarzy, cała w bieli, napół drzemiąca, ukazuje się nam, towarzysząca podróży prześliczna Paryżanka, ozdoba naszej „Croisier'y“. Mąż jej na koniu towarzyszy. Nieco wyżej droga tak gwałtownie pnie się do góry, że z koni już zsiadać musimy, szukamy tylko miejsca, gdzieby bez zawrotu głowy zrobić to można, bo z jednej strony ściana niebotyczna, z drugiej zaś przepaść niezgłębiona. Postanowiłem już niczemu na świecie się nie dziwić. A jednak sile prześlicznych wołów, odwadze profesora Sorbony Paryskiej, pana Bernard i pana Sarra-

chwyta młody a krępy tuziemiec i—jazda! Z początku ciągną nas z góry, potem wskazują z tyłu na płozy, i robi się coś tak szalonego, nieprawdopodobnego: sanie nasze tak pędzą, skaczą, na zawrotach lecą w zatoki, że, doleciawszy na dół, przez chwilę opamiętać się nie możemy. A jednak wypadki podobno nigdy się nie zdarzają. Co prawda przewodnicy nasi wprost zlaní są potem, gwałtownie wdychają powietrze. Dla nich jazda tak łatwą nie była! Pytamy tłumacza, jaka jest tradycja tej jazdy szalonej i w ogóle jazdy saniami po bruku i po skalistych drogach. Odpowiada nam, że jedno i drugie zaprowadzili „Ingles'i“, którzy tu zamieszkują przepyszne hotele i wille, na stokach gór rozsiane.

Dużo jeszcze miałbym do powiedzenia o cudnej Madere! O gościnności jej mieszkańców, o dobroci jej wina, którego, niestety, wskutek klęska philloxer'y tak mało się wyrabia że chyba na stoły panujących i kilku Carnegie'ch lub Rockefeller'ów wystarczał Reszty dostarcza Hiszpania, Portugalia i Francja. „Ile de France“ stoi pod parą, gotów do odjazdu. Pojutrze ujrzymy „Lizbonę“ i sławne na świat cały ogrody i pałace królewskie „Cintra“.

Jan Jodko.



Pole bananów.

sin, którzy swe piękne, nadobne żony saniami aż na „Grand-Curral“ przywieźli, dziwić się musiałem. Naza jutrz wszyscyśmy się spotkali znowu w cudownym parku, w miejscowości „Petit Curral“ zwanej. Wjeżdża się tu w niespełna godzinę tramwajem konnym, a następnie kolejką zębatą. Powrót jest fantastyczny. Po dwóch-trzech osiadamy do koszuw, osadzonych na płozach stalowych, po każdej stronie sanek wisi sznur, za który

Z tryoletów.

Rubin.

O gdybyż było takie morze,
Gdzie tonie krwawy smutku rubin!
Tam—pierścień swój, jak ongi doże,
W to sine rzuciłbym ja morze...
A ów, co zmierzchu gasi zorze,
Podszeptną zcicha mi cherubin:
„Jest jedno tylko takie morze,
Gdzie tonie krwawy smutku rubin“.

Michał Maryan Poznański.



Przed plebanią. W oczekiwaniu pasterza.



Ks. biskup na ganku probostwa w Podbrzeziu.

NA LITWIE.

Z wizytacji pasterskiej.

Po raz drugi od dnia, gdy zasiadł na biskupiej stolicy wileńskiej, biskup Ropp wyruszył tej wiosny w objazd swej diecezji rozległej i licznej, niosąc dobrą nowinę, krzepiąc w wierze, umacniając na duchu, dodając otuchy w ciągłej jeszcze walce o odrębność religijną, kulturalną.

Tym razem szlak wędrówki dostojnego pasterza prowadził przez obszerny powiat Wileński, gdzie niemało jeszcze miejscowości bardzo odległych od kolei. Stąd też objazd odbywał się powoli i zabrał blisko 6 tygodni czasu.

Tyle wiosek, tyle kościołów, tyle dworów wyglądało odwiedzin biskupich, na które czekano lat z górą czterdzieści. Fala ludu wylewała się na drogi, zalegała tłumem zbitym kościelne cmentarze, pragnąc ujrzeć uwielbianego pasterza, schylić głowę pod jego błogosławieństwo, przyjąć Sakrament bierzmowania, wziąć udział w tym wielkim święcie katolickim, zakazanym tak długo. Więc wizytacja przedłużyła się nadspodziewanie.



Po drodze do Glińciszek.

Pożytek za to jest z niej wielki. Po objeździe takim zostaje w sercach prostych moc wielka i pokrzepienie, o które rozbija się kto by je chciał zgnać lub złamać. A ileż spraw pilnych, ile sporów na tle polsko-litewskiego zatargu osobista interwencja biskupa pomyślnie załatwi. Wizytacja przynosi na jakiś czas przynajmniej uspokojenie waśni.

To też radość powszechna towarzyszy wszędzie przybyciu umiłowanego pasterza. Dwory i probostwa stroją się w szaty godowe, na traktach stoją tryumfalne bramy, dzwony na wieżach uderzają jak nigdy potężnie, i rozgłosnie ich echo daleko niesie miłą ludowi wieść przez lasy i wzgórza.

Tegoroczny objazd pasterski przy samym końcu zamoczyło tylko smutne zdarzenie. Oto w Szyrwintach zapadł nagle na tyfus towarzyszący Jego Ekscelencji monsignor Kurczewski, kapłan niezmiernie światły, prezes wileńskiego Towarzystwa Przyjaciół nauk. I ten smutny wypadek skończył się jednak szczęśliwie, chory przychodzi już bowiem do zdrowia i wraz z biskupem powrócił do Wilna.

Dołączone zdjęcia przedstawiają sceny z pobytu biskupa Roppa w okolicach Podbrzezia, Mejnagoly i Glińciszek na północ od Wilna.

Wilno.

W. J. E.

Poświęcenie kam. węgielnego pod kościół w Wilejce.

Baliński w starożytnej Polsce mówi o Wilejce tylko tyle: nad rzeką Wilią, starostwo, w r. 1782 płaciło kwatery 1955 złotych. Do lat pięćdziesiątych w XIX leżała Wilejka w granicach gubernii Mińskiej.

Najstarsi ludzie nie pamiętają, żeby w Wilejce był kiedykolwiek kościół. Budowano go jednak... Marszałek wilejski, s. p. Tukallo, w r. 1863 już był wznosił ściany kościoła aż pod dach, lecz w tym-że roku kłęski skonfiskowano mury, dokończono budowy i uczyniono w tych murach sobór prawosławny. Wreszcie wydano ukaz o tolerancji religijnej. Pierwszą myślą ziemiaństwa było ponosić starania. W dn. 21 lipca r. b. w Wilejce odbyło się poświęcenie i założenie kamienia węgielnego pod kościół... Tłumy ludu, obywatelstwo okoliczne, mimo deszczu zjechało na te uroczystości. Lud był zelektryzowany.

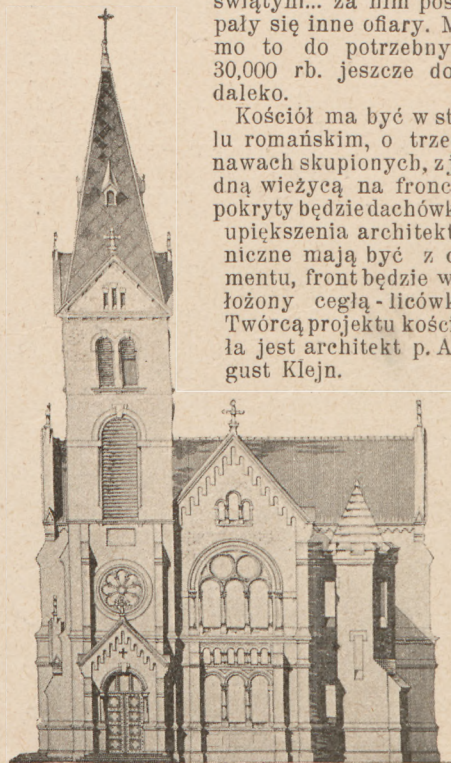
Starania wszelkie przy wyjednanju pozwolenia na budowę kościoła wziął



P. A. Lubański, z kielnią w rękę, przystępuje do położenia kamienia w fundamentach kościoła.

na siebie p. Aleksander Lubański z Lubania i ofiary zapoczątkował, darując piękny plac z całym zabudowaniem, zobowiązawszy się własnym kosztem sprawić całkowite wewnętrzne urządzenie świątyni... za nim posypały się inne ofiary. Mimo to do potrzebnych 30,000 rb. jeszcze dość daleko.

Kościół ma być w stylu romańskim, o trzech nawach skupionych, z jedną wieżycą na froncie, pokryty będzie dachówką, upiększenia architektoniczne mają być z cementu, front będzie wyłożony cegłą-licówką. Twórcą projektu kościoła jest architekt p. August Klejn.



Front kościoła budującego się w Wilejce.



Ks. dziekan W. Białożor, odprawia mszę świętą przy ołtarzu prowizorycznym na placu budowy nowego kościoła.



Komitet budowy kościoła. (Siedzą: M. Jarkowski, A. Lubański, (prezes komitetu), A. Bujniewicz, ks. W. Białożor, ks. Krzywicki, E. Ungierman, J. Bohdanowicz (skarbnik); stoją: architekt A. Klejn, M. Bohdanowicz, (prezes finans. komitetu), I. Tukało, Andrzejewski.

Uroczystości kościelne rozpoczęły się dn. 20 lipca procesją uroczystą, którą prowadził pleban z Kościeniewicz, ks. Krzywicki.

Przy ołtarzu prowizorycznym ks. dziekan Wiktor Białożor odprawił mszę świętą, poczem ks. Romanowski z Paratianowa wygłosił kazanie, wreszcie udało się tuż na fundamenta, dla poświęcenia kamienia węgielnego i położenia go.

Włożony w szklaną puszkę pergamin głosił: *Anno Domini 1907 die Julii 8, Ego Victor Białożor, Decanus Vilejensis, delegatus ob. Excellentissimo Illustrissimo et Reverendissimo Eduardo Libero Barone de Ropp, Episcopo Vilensi, presentibus intra Subscriptis hunc primum Lapidem benedixi et sub ecclesia parochialis Vilejensis. st. Exaltationis S. Crucis imposui. In quorum fidei et c., a podpisany przez księży Białożora i członków Komitetu budowy panów: Aleksandra Lubańskiego z Lubania, Mieczysława Bohdanowicza z Obodowic, Ignacego Bohdanowicza z Orpy, Ignacego Tukały z Ościnkowicz, Augusta Klejna z Wilna, Mamerta Jarkowskiego, Edwarda Ungiermana z Kurzeńca, A. Bujniewicza i Andrzejewskiego z Wilejki.*

Podczas odmawiania modłów stosownych poświęcono kamień, włożono puszkę z pergaminem powyższym do fundamentów i ks. Białożor pierwszy położył kamień, za nim prezes Komitetu budowy p. Aleksander Lubański i wszyscy członkowie tegoż Komitetu.

Wilejka.

Wł. Ślizień.



Sale Zajęć p.n. „Bratnia Pomoc w Radomiu.”

W r. 1905 grono kobiet, szczerze i z poświęceniem miłujących swoje społeczeństwo, powzięło myśl przyjscia z ratunkiem zagrożonemu wówczas nędzą radakom, przez rozdawnictwo żywności. Dla uniknięcia nadużyć zajęto się sprawdzaniem nędzy i wtedy to, zbliżywszy się do ogniska rodzinnego życia ubogich, narzuciła się umyślnie i sercem wspomnianych osób myśl zajęcia się młodem pokoleniem, pozostającym dotychczas bez żadnego kierunku, wychowywanym i kształconym jedynie na ulicy. Zaprojektowano więc instytucję, któraby kształcała w zakresie elementarnym, jed-

nocześnie wychowywała moralnie i praktycznie, przygotowywała do życia dzieci rodzin ubogich, rzuconych na falę losu, która najczęściej w mętnych swych nurtach zatapiała młode istnienia. Żywa chęć odrodzenia i podniesienia społeczeństwa przez pracę wychowawczą u podstaw, była tak silną, że bez względu na zupełny prawie brak funduszków p. Władysława Zarembina, Członek Rady Towarzystwa Dobroczynności, zakrzętała się około utworzenia „Sal Zajęć” p. n. „Bratnia Pomoc”. Zapukano tedy do serc ludzi dobrej woli, do ludzi, którym dobro ludu, a z nim dobro kraju całego, przedewszystkiem nie jest obojętne. I oto powstaje już we wrześniu 1906 r. zakład tymczasowo dla dziewcząt, który przysięgnął 120 dziewczynkom w różnym wieku.

Zakład ten, dając elementarną naukę, wychowuje jednocześnie dzieci, daje im podstawy religijno-moralne, przygotowuje je do życia praktycznego i obowiązków, wdraża do porządku, czystości, przestrzegania higieny domowej, uczy szyć, posługi przy kuchni, sprzątaniam, naprawy odzieży, robótek kobiecych i t. p., wreszcie najuboższe dziewczynki żywi

i odziewa. W ostatnich dniach czerwca „Sale Zajęć” wystąpiły z pierwszym popisem swych wychowanki, pragnąc przedstawić ogółowi rezultat pracy dotychczasowej. A praca okazała się nad wyraz wdzięczną, rezultaty zaś z niej — zdumiewające.

Uroczystość zakończyła się łąką wzruszenia, wywołaną objawami prawdziwej wdzięczności ze strony matek, które na kolanach dziękowały szlachetnej inicjatorce i głównej przewodniczącej p. Władysławie Zarembinie oraz współpracującym z nią paniom za córki swe, wyrwane z demoralizujących wpływów ulicy, za radość i pociechę, jaką już dziś one im przynoszą, podwalinę ich przyszłego szczęścia i pomyślności.

Krótki przeciąg czasu minął od zapoznania się z rodzinami dzieci, do chwili obecnej, a jakaż zmiana w uczuciach! Znikła dawna nieufność i nienawiść klasowa, jaką początkowo witano „burżujki”, wdzierające się w życie rodzinne ubogich. Zrozumiano nareszcie i oszczędono należyście dobrą wolę i serdeczną życzliwość, wyciągniętą szczerze dłoń bratniej pomocy ujęto w uścisk silny, a szczerzy.

Radom. X.



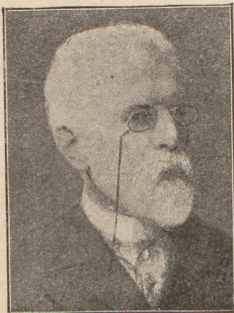
Grupadzieci w Sali Zajęć „Bratniejpomocy” w Radomiu.



Organizacja Demokracji Chrześcijańskiej rozwija się coraz to pomyślniej i okrywać zaczyna cały kraj już siecią kół swoich. Niedawno zawiązało się stowarzyszenie Robotników Chrześcijańskich Ziemi Radomskiej. Podajemy tu członków zjazdu organizatorów i delegatów, który odbył się w d. 8 lipca r. b. w Radomiu. (Rząd I-szy od lewej do prawej): Ks. S. Rembowski, patron koła Wierzbnik, Ks. A. Aksamitowski, patron okręgowy, Ks. kanonik P. Górski, Ks. prałat M. Godlewski, Ks. T. Kopydłowski, patron koła Radom, Ks. A. Sapiński, patron koła Skarżysko, Ks. S. Wiśniewski. (Rząd II-gi): S. Łopacki, I. Jasikowski, M. Grontza, A. Wasik, K. Barwicki, przew. koła Radom, I. Rzepkowski, przew. Okręgu, T. Pokarski, Delegat koła Skarżysko, S. Rek, przew. koła Wierzbnik. (Rząd III-ci): Delegat koła Skarżysko, A. Sufek, przew. koła Skarżysko, C. Witkowski, M. Gorard, F. Karpiński I. Adamczyk, Delegat koła Wierzbnik.

✠ H. K. T.

Hansemann, Kennemann, Tiedemann... Trzej twórcy sławnego bractwa Hakatystów (H.K.T.). Dwaj pierwsi z wymienionych powyżej zmarli już w przeciągu kilku lat ostatnich. Krysztof von Tiedemann, zamożny właściciel ziemski w Ks. Poznańskim, rzeczywisty radca tajny,



Krysztof Tiedemann.

b. prezydent rejencyjny, b. poseł do parlamentu, a przez całe życie zacięty, aż do sekciarstwa, zawzięty, aż do obłędu, wróg Polaków, wróg polskiego, co polskie, co z przeszłością, z teraźniejszością i przyszłością naszą jest związane, zmarł 20 lipca w Berlinie w 71 roku życia. Przed kilku jeszcze laty przydywował na hakatystycznym zjeździe w Poznaniu, gdzie zaznaczył po raz ostatni publicznie, otwarcie i uroczyście, że Polskę i Polaków należy: *ausrotten*. Za jego i towarzyszy inicjatywą i podszeptem przyszło do skutku dzieło arcyantypolskie z komisją kolonizacyjną, całym szeregiem praw wyjątkowych, eksterminacyjnych, prześladowczych, barbarzyńskich, mających się skończyć oczekiwaniem przez hakatę prawami prymusowego wywłaszczenia.

Ze śmiercią ostatniego z przekłętej trójki prześladowczej, system przez nią

zaszczepiony nie zanikł, ani osłabł. Przeciwnie, posiew nienawiści, bezprawia, znęcania się nad słabszymi, trwa nadal w całej pełni i w całej sile.



Prace podczas wakacji.

Uczniowie szkoły mechaniczno-technicznej im. Wawelberga i Rotwanda nie próżnują, nawet w sezonie wakacyjnym. Tak kierownicy, jak i słuchacze wiedzą, że praktyczne studia są podstawą tego zawodu, korzystając więc z okazji, jakie nastęrcza budowa trzeciego mostu, udali się na Saską kępę, z której zdjęto szczegółowe plany. Studia praktyczne odbywały się pod kierownictwem inżynierów mierniczych pp. Jeżewskiego, Fabiana, Czerneckiego i Ungiera.



Grupa słuch. szkoły mechan. techn. im. Wawelberga i Rotwanda. (Od lewej do prawej, oznaczeni krzyżykami): inż. p. Jeżewski, p. Fabian i p. Ungier.

Bawił w Warszawie przez dni kilka p. Ugo Marocco Bonghi, włoski publicysta i nowelista, współpracownik „Corriere d'Italia”. Bez interesu specjalnego, spowodowany jedynie ciekawością podróźniczą zawadzenia i o słowiańską ziemię. Warszawa mu się spodobała, ruch zewnętrzny go uderzył, podobnie jak i przygnębienie, które tu znalazł. Pisać będzie o naszych stosunkach, o ile je poznał; a odszukanie linii głównych tych stosunków i tonów dominujących nie jest wcale trudnym, nawet dla cudzoziemców.



Ugo M. Bonghi.



Wakujące stypendya.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem podaje do wiadomości następujące stypendya:

1) Z funduszu Józefa Simmlera, stypendyum rs. 222 dla utalentowanego królewskiego, bez różnicy wyznania, pragnącego wydoskonalic się w malarstwie.

2) Z zapisu Heleny Korwin-Szymanowskiej, stypendyum rs. 116,50 dla Królewskiego, ubogiego, moralnej konduity, pragnącego wydoskonalic się w malarstwie, lub rzeźbiarstwie.

3) Z zapisu Ig. Ciszewskiego, stypendyum rs. 190 dla adepta rzeźbiarstwa, według wyboru Komitetu Tow.

4) Z funduszu im. Mikołaja Kopernika rs. 92 kop. 50, na lat 3 dla królewskiego bez różnicy wyznania i pochodzenia w wieku lat 16-21 i chcącego się kształcić w malarstwie w kraju lub zagranicą.

Żąda się następujących świadectw do dnia 20/VIII r. b.: metryki urodzenia, świadectwa zamieszkania, świadectwa stanu majątkowego, świadectwa dobrej konduity.

Bliższych szczegółów udziela Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.





Odbył się w Warszawie pierwszy zjazd gorzelników naszych pod umiejętnym kierownictwem znakomitego specjalisty inż. Kączkowskiego. Dużo spraw zaniedbanych, nierozwiniętych, pożądaných, koniecznych poruszono na niem a najgłówniejszą z tych spraw to potrzeba ujednostajnienia i podniesienia wykształcenia gorzelników naszych. Tych sporo jest; jedna trzecia gorzelników w państwie stanowią polacy, ale ledwie jaki lichey bardzo procent z nich zajrzało do Dublin. Reszta olbrzymia — to samouki. Na zjeździe zawiązano też Związek pracowników gorzelniczych, tak konieczny od dawna.

Domniemane nominacje w bliskiej przyszłości.



Ks. biskup Apolinary Wnukowski. (Fot. A. Grzywiński w Płocku). Ks. Antoni Nowowiejski.

ks. biskup Apolinary Wnukowski ma otrzymać, wedle pogłosek, krążących w prasie, arcybiskupstwo metropolitarne mohylewskie. Katedrę biskupią zająć zaś ma, wedle tychże pogłosek, ks. Antoni Nowowiejski.



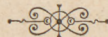
Ćwierćwiekowy jubileusz.

Przez całe ćwierć wieku p. Edward Lechowicz był sekretarzem instytucji, zwanej Radą miejską dobroczynności publicznej, a zawiadującej całym szeregiem szpitali i przytułków. Długoletnią a użyteczną służbę jubilat uczczono w tych dniach piękną uroczystością, w czasie której prof. Kosiński, członek tej Rady i pan Litwinski, prezydent miasta w treściwych przemówieniach złożyli panu Lechowiczowi życzenia i powinszowania, a delegacja kolegów wręczyła mu upominek. Sama Rada miejska dobroczynności ma być, wedle ostatnich wiadomości, zmieniona, a jej atrybucye przejdą — nareszcie — na warszawski magistrat.



Edward Lechowicz.

—



W sprawie „Momentu Tylży w romantyzmie polskim“.

Od p. Henryka Sadowskiego, zasłużonego badacza naszej przeszłości, otrzymujemy sprostowanie paru drobnych niedokładności, które wkrały się do zajmującego studium p. A. Siedleckiego.

P. Sadowski pisze:

„Autor zaznacza, że d. 3-go maja 1807-go roku w klasztorze św. Jana odbyło się uroczyste poświęcenie znaków legiōńskich. Otóż wzmianka ta jest niezgodna z prawdą. Akt poświęcenia, stosownie do uchwały Komisji Rządzącej, sprawującej wówczas naczelną władzę w prowincjach polskich, odebranych znieawidzonym prusakom, odbył się w ogrodzie pałacu rządowego przy placu Krasieńskich (gmach dzisiejszej Izby sądowej). Następnie nie był to akt poświęcenia „znaków legiōńskich“, ale orłów białych do sztandarów dla wskrzeszonego wojska polskiego, którego część w niedługim czasie wyruszyła dla połączenia się z armią Napoleona; część zaś pozostała na miejscu dla obrony granicy świeżo utworzonego państewka. Po ukończeniu ceremonii religijno-wojskowej w ogrodzie Krasieńskich, odbyła się wspaniała procesja, która z nadzwyczajną okazałością przeniosła Orła Białego do magistratu m. Starej Warszawy; umieszczono go nad głównym wejściem, na miejscu wyrzuczonego orła czarnego, pruskiego. Podczas aktu zawieszania herbu Polski, odsłonięto napis następujący, na podstawie orła umieszczony:

„Dawne wyrocznie Lecha Niebo nam ogłasza Polacy! to nasz Orzeł, to ziemia jest nasza“.



Z dziejów niedoli publicysty poznańskiego.

Przesiedział 20 miesięcy w więzieniu we Wronkach pod Poznaniem, w odosobnionej celi, w kurcie aresztanckiej, z zastawianiem całej bezwzględności regulaminu więziennego. Za co? Za artykuł w tygodniku poznańskim „Praca“ którego był kierownikiem. W artykule tym na prawdę nie takiego nie było, co by tak srogi wyrok mogło uzasadnić. Sędziowie jednak — ci pruscy sędziowie, do niedawna przysłowioiwio sprawiedliwi — posiadali widocznie wskazówkę z góry, aby do oskarżonego zastosować najwyższą karę, określoną przez kodeks, jako do człowieka, na którym, obok tego że nosił na sobie piętno polaka, a w dodatku dziennikarza polskiego, ciążyło podejrzenie utrzymywania stosunków i korespondowania do pism angielskich — tembardziej, ponieważ kodeks niemiecki nie przewiduje kary za korespondowanie do pism zagranicznych. Chciano zatem pozbyć się p. Wierzińskiego na czas jak najdłuższy i za jakąś cenę, nawet za cenę dziś już anachronistycznego przysłowia o: „iuges à Berlin“. Przymioty podobne ceniono w dawnych, dobrych czasach; dziś polityka rządowa nie zna podobnych przesądów. Nie pomogły apelacje, prośby matki, wstawienia się posłów, petycja dziennikarzy angielskich. W Pruszech nie znają ulaskawienia,

chyba dla katów i morderców nieszczęsnego plemienia murzyńskiego w Afryce, podbitego przez Niemców. Ale dla polaka, a do tego dziennikarza!! Za nic w świecie... Po 20 miesiącach srogiej choć niezasłużonej karni wyszedł pan Wierziński z więzienia wychudły, zniezdniały, a skutkiem zbyteńnego przegłodzenia, skazany na specjalną kurację — ale na duchu nie złamany. Kurację odbędzie pod Lwowem, chcąc choć na kilka tygodni odechnąć swobodnie nieco powietrzem aniżeli tem, jakie wytworzyła kultura i cywilizacja hakatystyczna. A potem wraca znów do pracy...



Maciej Wierziński.

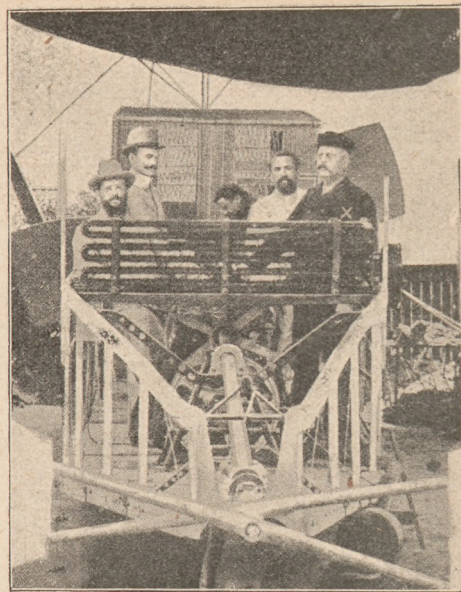
Jedyną pociechą dla wypuszczonego więźnia były serdeczne przyjęcia i owacy, jakie mu zgotowali znajomi i przyjaciele poznańscy w różnych instytucjach, zgromadzeniach i klubach, zwłaszcza wioślarskim, którego był jednym z głównych założycieli.

Poznań.

G.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Życzliwemu prenumeratoremu z Kutna. Gra skrzypcowa nie może spowodować utraty głosu. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że najznakomitsi śpiewacy, np. Anzelm, Mierziński, obok śpiewu, uprawiali i muzykę. Co się zaś tyczy ilości godzin, które należało by poświęcić dla wykształcenia swoich zdolności — to tego nie można dokładnie określić, gdyż to wszystko zależy od skali uzdolnienia. W każdym razie trzeba pracować dużo.



Kap. Wellman, w koszu swego balonu.

Nowa wyprawa balonem do bieguna.

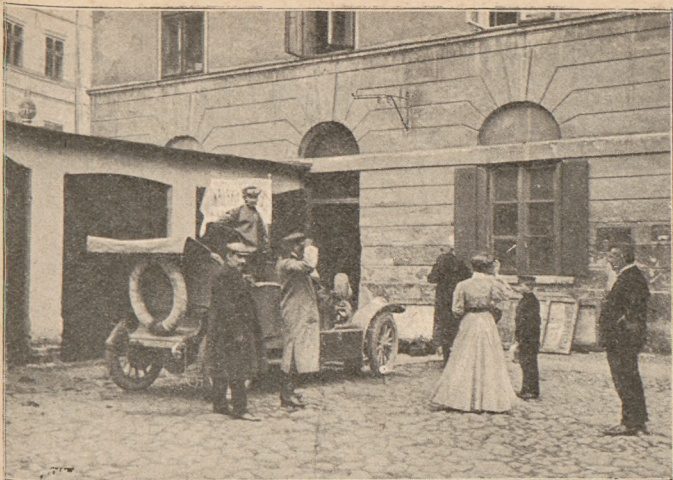
Bieguna ziemi naszej ciągnie ludzi ku sobie, niby przepaść jakaś. I to zwłaszcza — północny. Ofiar ta ciekawość naukowa ludzka pochłonęła bez liku. Jedną z ofiar najpamiętniejszych bo najbardziej interesujących był inżynier André, który wybrał się do bieguna balonem wraz z dwoma towarzyszami i po którym najdrobniejszego śladu nie zostało. W dziesięciolecie rocznicę tej katastrofy identyczną próbę dotarcia do bieguna balonem podejmuje amerykańkanin Wellman. Wprowadził on różne ulepszenia w aeronautyce i odważnie puszcza się, wierząc im, w przepastną podróż.

n.

Napad pod Włochami.



Coraz mniej pewnym i niepopłatnym staje się u nas lukratywność tak niedawno rzemiosło bandyckie. Sprawdziło to kilku zawodowców, którzy w dniu 3 b. m. zastąpili drogę w Włochach robotnikom, niosącym pieniądze na wypłatę i, pod lufami brauningów, odebrali im parę tysięcy rubli. Robotnicy nie dali za wygrane. Puścili się za łotrami przez kartofliśka podwarszawskie i nie spuszczali ich z oczu. Przybyła policja uczyniła obławę i dwóch bandytów ujęto. Większość pieniędzy znaleziono w kartofliśku. Pierwszy to raz, jak się zdaje, robotnicy prowadzili wspólną z przedstawicielami władzy akcję przeciwko złoczyńcom.



Pan Trylski wraz z p. Zygmuntem Bartkiewiczem, przedstawicielem „Świata”, siadają w Warszawie do samochodu.

Na spotkanie ks. Borghesse w Kownie.

(Specjalne sprawozdanie „Świata” .

Dyspozytorka redakcji: Miodowa 4, samochód, Kowno, Borghese, felieton...

I choćbyś się kochał człowiecze, a dziś właśnie rzekła ci ona z czarownym uśmiechem dziewczęcego wdzięku: — niechaj się stanie, — choćbyś miesiąc nie jadł obiadu, a dziś zapisano ci w księgach przeznaczenia *menu*, gdzie białe pawie, turboty głód ci ukoją a wino Andaluzji przez najcudniejszą z plemienia Basków podane, wszystkich trosk zapomnienie sprawi, choćbyś wreszcie jak ów paralytyk biblijny ciężką niemocą był złożony, wnet otrząśniesz się z żalu, i głodu, wstaniesz z boleściwego łoża, i już pędzisz sześćdziesiąt wiorst na minutę, bo taka moc, taki czar redaktorowego komplimentu:

— Niechże pan jedzie, bo pan dobrze to zrobi...

I oto już jesteś na Pradze, warczy samochód, psów ujadanie, i ludzkie: — waryat, waryat! — ażeściej kamienie, lecą za tobą, i wiorsta za wiorstą cię dzieli od ukochanej, która może w tej chwili z kim innym dzieli młosne słodycze...

Przeklęty Borghese!

Już Marki, Czarna Struga za nami, a że szosa znośniejsza, pan Ludwik poddaje szybkości —

wii — i — uuu, — leci automobil — huragan, i jęczy syrena.

Huragan istotnie, bo niesie trwozę, zniszczenie. Co chwila rwą w pole, z wozami przez kamienie, rowy, oszalałe szkapy, łamią dyszle, hołoble, i lecą półkoszki, sypią się z nich kraśne wełniaki, barwne chusty na ziemię, a nas tylko raz wraz jakieś — żebyś, psiaćrew... doleci, a resztę, zapewne twardszych wyrazów, wiatr chwyta, roznosi.

Wii — ju — uuu, — ostrzega i grozi syrena, lecz nie to, bo „swoj rozum“, ma chłop, szkap łbami nie odwróci, nie zbroczy, tylko czeka aż minie nieszczęście — „waryjot na wozie dyabelskim.“

Ale nim minie, już konie zwiśłego u cugli w pole wloką, częściej wóz nagle szarpnięty, chwilę zaważy, jakby zastanawia, aż wali na ziemię, a czasem jeszcze odwróci, chłopca z babą nakryje. Humor tragedji.

I aż dziwno co może strach, bo

czasem konisko mizerak, łeb hakowaty, zwieszony, i ledwo nogi się wloką, a za nim wóz skrzący z cegłami, niech tylko jednak strach obok przeleci, obawa uderzy w mózg, już konisko staje dęba, jak świeca, szczupakami sadzi, i gna w obłokach czerwonego pyłu.

Lecz bywa także i taki, ze skórą od batów pociętą co ani okiem nie mrugnie, zda się że myśli, jak człowiek w twarde jarzmo bezlitosnej pracy wprzęgnięty.

— Toć śmierć słodsza niż życie. Pędzi samochód, wiatr huczy, słowa unosi, myśli rozbija. Przed oczami tylko wstęga szosy falistej, a bokami migają drzewa, chaty, kamienie, gromady ludzi, zamarte w podziw.

Radzymin, most na Liwcu, urodziwa cyklistka, wzniosło się stado gęsi nad wodą, ogłupiały żreback wpadł bokiem na samochód, koziołkują splecione konie, jakaś babina, w pośpiechu rwie wełniak z siebie, szkapie oczy zakrywa, chłop przykleknął u drogi, żegna się szeroko, inny spadł z wozu.

— Żebyśta ręce i no...

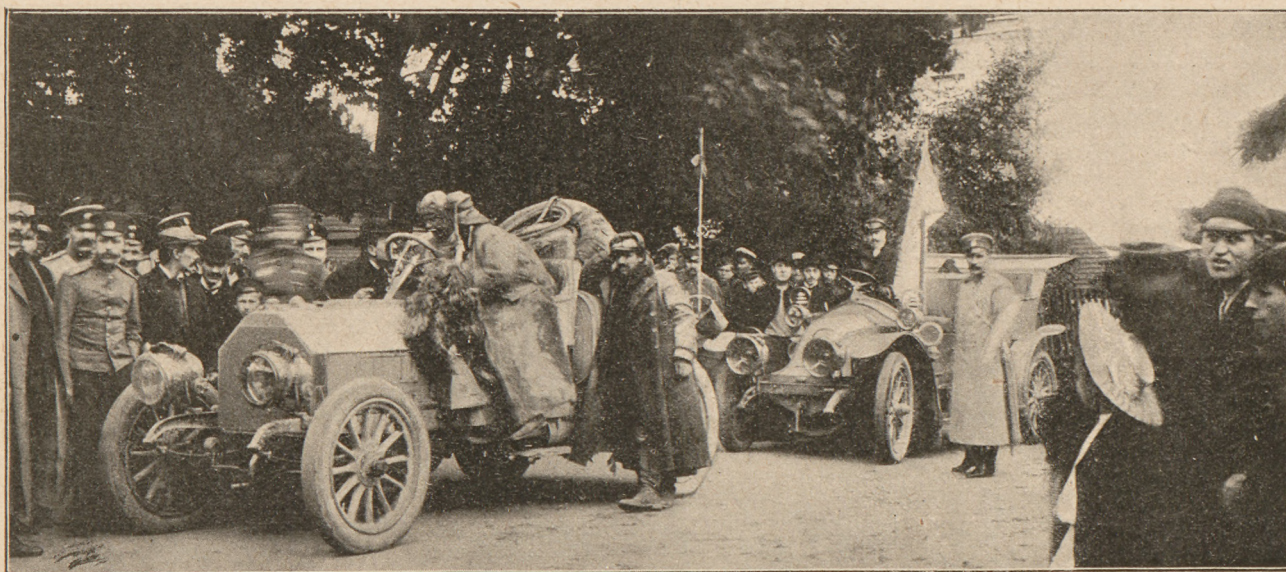
Gna maszyna, żre przestrzeń, furkocze wiatr, a pan Ludwik, sam palacz, pochylił się nieco, oczy wbił w szosę.

— Jedziemy?

— Sześćdziesiąt pięć na minutę. oblicza jego pomocnik towarzysząc Siedemdziesiąt... wtem nagle koń jakiś się zwinął, padł o stóp kilka... zanim myśl zadzwoniła na trwozę — zgrzyt straszny, hamulce, kierownik, potężnie naparte, i, zawisły dwoma bocznymi kołami w powietrzu, kręgiem przelatuje samochód.

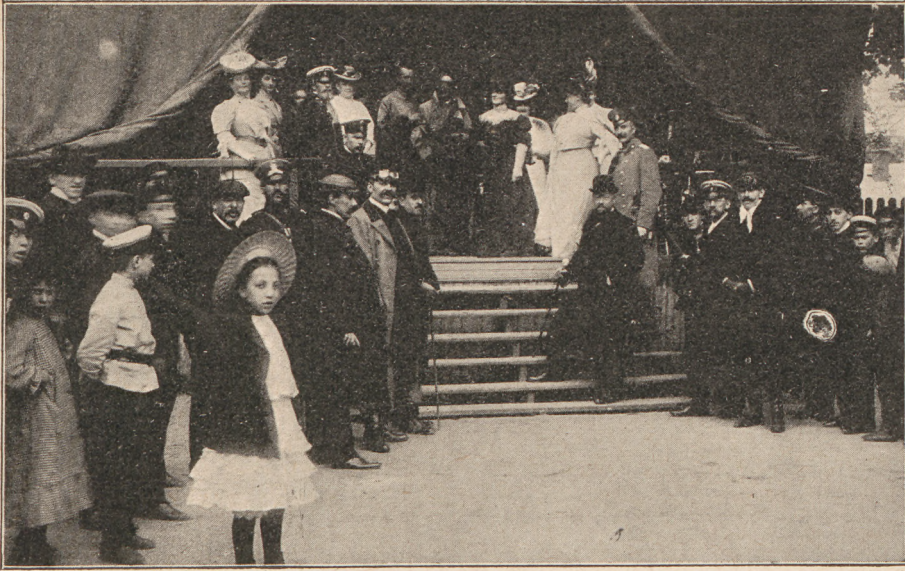
Serca jakby przyrosło.

— Dobra maszyna, — błyska zębami, w uśmiechu, pan Ludwik,



(Zdjęcie s. Sevredin).

Przybycie ks. Borghesse do Kowna.



(Zdjęcie p. Serredin).

Przyjęcie ks. Borghese przez urzędowe sfery kowieńskie.

i zjada dalej słupy wiorstowe, urozmaica dyrektorowi Strzeszewskiem, i mnie, obok, wycieczkę, od czasu do czasu, na mostku, w górę nami wyrzuci, i rad.

— A raz to jednego ledwom za pięte przytrzymał, bo już chciał na szosę koniecznie, — pociesza mię sąsiad.

Niebo zlekka ciemniej, gdy Narew błysła przed nami, na prawo, dalej już jej szeroka lazurowa wstęga, a dalej i Łomża, — rozsypane malowniczo domy nad rzeką. Ciche, puste miasteczko, ale, — samochód, więc w jednej chwili tłum, z pod ziemi wyrosły. Nie sięgnęła jednak tam jeszcze kultura Pragi mieszkańców, przejeżdżamy zatem miasto zwolna, w spokoju, i znów szosa i pęd, i konie, i trwoga, i, — nie błogosławieństwo nas ściga.

Stawiski, Szczuczyn, gdzie siostr urodziwych poznanie. Panny Aleksandra, Wiktorya, i, — ta trzecia, więc chwila wytehnienia, wszystkie flirtu wdzięki, i befsztyk z cebulą.

Zrywamy listki z akacyi, — kocha, nie kocha, — ktoś proponuje że możeby zostać, ktoś mi doradza, abym tu spisał wrażenia z widzenia ks. Borghese, ale próżne chęci, porywy, gdy zakomenderuje pan Serredin palacz, mechanik:

— Jedziemy!

Z siarki to i ognia kawaler, druh serdeczny dla niego samochód, a dobre porozumienie z motorami najmilsze, i niema, zaprawdę, takiej pokusy, niema takiego uśmiechu, któryby mu zastąpił lubo warczenie maszyny, i dwóch ramion niema tak pięściwych, co by go odciągnęły od czterech cylindrów, wyrobu braci Renault. A może i są, ale nie w drodze.

Mijamy Rajgród, — miasto umarłych, bo szabas, potem brudne Suwałki, gdzie kusi nas trupa p. Izako, „złożona ze stu artystów, w czem trzydzieści

artystek, dwadzieścia koni, i innych dzikich zwierząt“, a po chwili rozmowy ze stróżem porządku, któremu nie podoba się polska firma „Kowalski i Trylski“ umieszczona na samochodzie, bo „kakuju imiejetie prawu bielyje flagi rozpuskat“, po zamiar nie politycznych poglądów, całym pędem mijamy Kalwaryę, Maryampol i jesteśmy w Kownie o świcie — na trzech całych resorach.

Odszukiwanie kowala, rozmowy o „lagach“, „oberlagach“ i żeby nie było zagrubie, i niech pan będzie spokojny, bo nikt lepiej nie zrobi, i pewna wątpliwość, bo pan majster już od świtu zionie wódeczką — zajmują nam tak wiele czasu, że ani myśli o spaniu, tembardziej, że w miejscowej redakcyi nie wiedzą gdzie jest obecnie poszukiwany ks. Borghese. Potem troska o benzynę bo szabas, poszukiwania na mieście zajmują nam kilka godzin, wreszcie gdzieś, przez grzeczność, a za drogę pieniądze, otrzymujemy żądane trzy pudy i wreszcie, okrutnie znużeni, spieszymy na obiad, lecz oto:

— Co? Obiad? — dziwi się pan Serredin, — myśmy tu przyjechali nie na obiad przecie..

— Istotnie, — uderza nas treściwa uwaga — ale gdzież tego Borghese szukać będziemy.

— Jedziemy na Petersburską szosę.

— Daleko?

— Do... Petersburga!

— Ano... Jedziemy.

Nagle grzmot głosów, poczem w Kowno grom uderzył:

— Gwałt... Jedzie Borghese!

A potem huragan: — Aj, waj, — der kimmt, — zawył na Moskiewskim prospekcie, Olgierdów i Kiejstutów grodu, a w zbitej masie tłumu już sunie włoski automobil księcia Borghese.

Przykre myśli do głowy się cisną.

Po przywitaniu, ruszyliśmy za nim zwolna do ogrodu, gdzie się odbyć miała zabawa na cel dobroczynny, i tam dopiero, gdy zagrzmiała orkiestra, a twarda technika policyjnej dłoni odgarnęła tłumy, możemy spojrzeć w zabłoconą, promienną twarz de Borghese.

Wyraz pański i twardy, obejście człowieka w płaszczu, do którego całe grudy błota przywarły, swobodne i wytworne, zwłaszcza wobec pań, którego otoczyły kołem barwistem.

Bez śladu zmęczenia, z uśmiechem, odpowiada na wszystkie pytania, jak gdyby wogóle pytano się go po raz pierwszy, i pierwszy raz witano w podróży.

— Ale pan ma zdrowie istotnie żelazne, — zwraca się do niego żona wysokiego urzędnika.

— O pani, to nie ja, to mój samochód ze stali.

Towarzyszy mu palacz, i korespondent *Corriere della Sera*, i *Daily Telegraph*, obydwaj wprost straszni, oblepieni błotem, i w strzępach.

Siedzą na automobilu — stalowym szkielecie prostej roboty, bez wachlarzy nawet, które zużyli na przeprawy precz błota, podkładając pod koła. Z tyłu na trzecim siedzeniu, bagaże, zwisające łachmany, palacz siedzi u nóg, bo samochód prowadzi sam książę. Na grabowym pątku ściereczka włoską flagę udaje.



Żegnany przez pp. Trylskiego i Bartkiewicza oraz przez liczną rzeszę ciekawych, ks. Borghese puszcza się w dalszą drogę ku Wierzbólowi

X Zjazd lekarzy i przyrodników polskich (22—25 lipca r. b.) we Lwowie.

— A gdzież panowie zostawili dach kulochronny, o którym tyle pisano?—pytam się korespondenta.

— To blaga,—nasz fach, kochany kolego,—zwierza mi się półgłosem.

Jeszcze chwila gawędy, a potem zaproszenie na kolację J. O. gościa przez J. E. gubernatora, odprowadzamy zatem księcia do hotelu, gdzie pragnie się przebrać, i gdzie potem, będąc bardzo zmęczonym, jak pisze w usprawiedliwiającym bilecie, przyjmuje nasze zaproszenie spędzenia razem wieczoru.

I oto umył się, przebrał i,—zmienił na niekorzyść bardzo. Z żywołowego pana, został pan tylko, o twarzy pospolitej, z nosem dobrodusznego mieszczucha, któremu do brze się dzieje, i dobrze się pije.

Ale,—pan w każdym ruchu, i w każdym słowie, które waży ogłędnie.

Powtarza wszystko co znane już z gazet francuskich, więc pustynia Gobi, chińczyk, który szybkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę nie przeraził się wcale, i pytał czy prędzej nie można, 8,000 franków, za które Nobel benzyny dostarczył od Kiachty do Wierzołowa, i tak dalej i dalej, o czym zapewne osobiste pamiętniki się zjawia, i będzie w nich wszystko, jak każde nasz fach, wedle słów korespondenta z *Corriere*.

— A sprawy tkliwsze? Czy miał książe z własnym sercem jaką przygodę w podróży?—pytam się przy kawie.

Uśmiechnął się smętnie.

— Może i byłbym rad, może i bardzo, ale miłość dużo czasu pochłania, a tu każda godzina kilkadziesiąt kilometrów jest warta...

— Pokusy jednak były po drodze?

— O tak... Cudowne są w Ekaterynburgu tatarci... Mógłbym być spędzić wieczór cudowny, ale — kilkadziesiąt kilometrów,—za drogo...

Potem jeszcze rozmowy z panem Trylskim, w kwestyach technicznych, a około 11-ej, do jutra,—dobranoc.

Dobra, ale nie długa, bo wyjazd przed trzecią.

I przedświt. Kowno — Maryampol, gość książe przoduje, a dymiąca, łachmaniasta maszyna pożera siedemdziesiąt pięć wiorst na godzinę. Pędzimy za nią w odległości kilkunastu metrów, rośnie serce w panu Ludwiku, płonie jak panna z uciechy, krewki pan Serredin, a ja rozmyślam że jednak piękne jest życie, choć zgoła niepewne.

— Dobra maszynka?

— Oj, dobra...—chwalą ją nawet podróżnicy z „Itali“, poczem chwila komplementów wzajemnych, pożegnania przyjazne, i rozchodzą się automobilów dwa szlaki.

Wicher za nami. Suwałki, Augustów, dłuższy postój w Szczuczynie...

Zygm. Bartkiewicz.

Zadanie Zjazdów lekarzy i przyrodników polskich polega głównie na ujawnieniu postępów w obszernej dziedzinie nauk przyrodniczo-lekarskich, na wykazaniu, co do tych postępów w danym okresie czasu dorzuciliśmy i my, oraz na zastosowaniu zdobytych postępów nauk do celów praktycznych, a nadto na zaznaczeniu łączności duchowej i na tem polu pomiędzy trzema dzielnicami Polski.

Każdy Zjazd lekarzy i przyrodników polskich ma swoją kwestję dnia.

Taką kwestją dla Zjazdu IX była podjęta w całym świecie cywilizowanym walka z gruźlicą. Taką kwestją dla Zjazdu X jest walka z drugą plagą ludzkości: rakiem.

Już na pierwszym zebraniu ogólnem członków oraz uczestników X Zjazdu prof. Ludwik Rydygier ze Lwowa zagaił sprawę akcyi przeciw-rakowej.

Na jednym zaś z posiedzeń sekeyjnych dr. Józef Jaworski z Warszawy zdał sprawę z czynności Warsz. komitetu do badania i leczenia raka.

Rak jest jedną z najgroźniejszych chorób. Pomimo że zabiera on mniej ofiar, niż gruźlica, przewyższa ją pod względem nieuleczalności. Nauka wobec raka jest, jak dotychczas, prawie bezsilna, nie prędko przeto straszna ta choroba przestanie być marą dla lekarza, torturą dla chorego i klęską społeczną.

Walka z rakiem najpierw podjęta została we Francyi, już bowiem w r. 1700 Akademia Lugduńska ogłosiła konkurs za najlepszą pracę o przyczynach, istocie, skutkach i sposobach leczenia raka („*Prix du cancer*“).

W r. 1807 powstaje w Anglii Liga badania raka i takąż Ligę zakłada i Francya w r. 1892. Ale z braku poparcia ze strony społeczeństwa obie te Ligi dość prędko znikają z widowni.

Walka z rakiem dobrze pomyślana—to rzecz czasów najnowszych, a podjęto ją przedewszystkiem w Niemczech. (Być może bodźcem głównym była tutaj choroba cesarza Fryderyka III). Dość, że w lutym roku 1900 powstaje tam niemiecki komitet do badania raka, „*Deutsches Komitee für Krebsforschung*“ z osobnym pismem „*Zeitschrift für Krebsforschung*“. We trzy lata później wznoszą już w Berlinie osobny instytut do badania raka „*Institut für Krebsforschung*“ w szpitalu *Charité* z funduszów, uchwalonych na ten cel przez parlament niemiecki, w sumie 150,000 rub.

U nas nie wiele w tym względzie zrobiono. Że jednak naród nasz od dawna przejawiał dużo uczucia ludzkości, niech świadczy fakt, że w Warszawie już w r. 1591, a za tem o całe dwa stulecia wcześniej, aniżeli w Anglii (szpital *Middlessex*, jak o tem była mowa, założony został w r. 1792) staraniem ks. Piotra Skargi „Szpital dla Gnojników“, czyli, ludzi w gnoju porzuconych, którzy przygarniał przeważnie chorych rakowatych. Dzisiaj szpital ten jest dla chorych skórnych oraz wenerycznych, posiada jednak osobny oddział i dla rakowatych, których rocznie przyjmuje około 50—60.

Drugą instytucją, w której rakowaci znajdują przytułek, jest Królikarnia pod Warszawą, zakład dla chorych nieuleczalnych, obliczony na 23 łóżka (z tej liczbę $\frac{2}{3}$ dla chorych na raka).

W dn. 6 lutego roku ubiegłego z inicjatywy referenta, dr. Jaworskiego, powstaje w Warszawie osobny „komitet do badania raka“, którego prezesem obrano J. M. Rejchmana, vice-prezesem, dr. Żurawowskiego.

Komitet w ciągu krótkiego swego istnienia zdołał już wykonać pewną ilość zadań.

Z tablic statystycznych, wystawionych przez dr. Jaworskiego na połączonej ze Zjazdem lekarzy wystawie przyrodniczo-lekarskiej we Lwowie, widać, że w całym Królestwie Polskiem umiera na raka rocznie osób około 7000.

Nie należy wątpić, że walka z rakiem, jako posiadająca tak szerokie znaczenie społeczne, znajdzie i w naszym społeczeństwie również żywy oddźwięk, jaki znalazła już i walka z gruźlicą. Okazało się bowiem ze sprawozdania stałej Delegacyi Zjazdów, że Królestwo Polskie, aczkolwiek znajduje się w gorszych warunkach niż np. Galicya, jednak do walki z gruźlicą zabrało się o wiele energiczniej. Fakt ten ze wszech miar jest godny podkreślenia.

Jeszcze donioślejsze znaczenie społeczne, niż walka z rakiem i z gruźlicą, ma walka z alkoholizmem.

Jeżeli się zastanowimy, że dzięki samemu tylko podjęciu przez te bądź owe państwa środków do walki z tą plagą, dobrobyt ludu od razu wzrasta, a liczba chorób, jako też i liczba występów i zbrodni maleje, to zrozumiemy, dlaczego X Zjazd lekarzy i przyrodników polskich utworzył osobną sekcję do walki z tak niebezpiecznym wrogiem.

X Zjazd lekarzy i przyrodników polskich był Zjazdem imienia ś. p. Marcelego Nenckiego. Słynnego tego uczonego uczczono pomnikiem, który odsłonięto wobec dostojników wszechnienicy lwowskiej, rektora i dziekanów wydziałów, komitetu gospodarczego Zjazdu oraz licznie zebranych uczestników Zjazdu. Pomnik Nenckiego, dzieło dłuta artysty-rzeźbiarza Antoniego Popiela, wmurowany jest w ścianę instytutu chemii lekarskiej i popiersie opiera się na cokole marmurowym, na którym widnieje napis:

*Marcelemu Nenckiemu
X Zjazd lekarzy i przyrodników
polskich we Lwowie.
MCMVII.*

Dr. STAN. ŁAGOWSKI.



Niezwykły gość.

Mieliśmy w Warszawie miłego gościa, młodego, rozumnego, gorącego kapłana katolickiego, ks. Jana Chondra. Należał

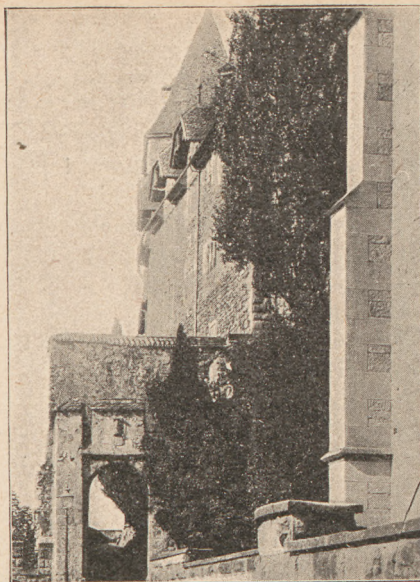


Ks. Jan Chondra.

on do prawosławnej rodziny i wstąpiwszy do seminarium, został popem. Przekonania religijne pociągnęły go w inną stronę i skorzystawszy z ukazu tolerancyjnego zmienił wyznanie, złożył z siebie „riasę“ i przywdział sutanę. Obecnie zamieszkuje w Żytomierzu.

Lwów czy Kraków otrzyma Muzeum rapperswylskie.

Coraz to jaśniejszym zdaje się bezużytek trzymanie dość bogatych i interesujących zbiorów polskich w zapałdłem i martwym miasteczku szwajcarskiem, leżącym na uboczu od arterii głównej podróźniczej. Wedle ostatniego sprawozdania odwiedziło to Muzeum ledwie siedemset kilkudziesięciu polaków. Jest to garść niesłychanie drobna i doprawdy szkoda kosztów tyłu na pożytek tak drobnuchny. Na obecnym zjeździe zarządu Muzeum podniesiona też będzie sprawa przeniesienia zbiorów na ziemię polską. Już obecnie walczą o nie dwa miasta galicyjskie: Kraków i Lwów. Ten ostatni bardzo energicznie, bo rada miejska już wyraziła zgodę na przyjęcie zbiorów i utrzymanie personelu całego na dotychczasowych stanowiskach. Bogate muzea krakowskie istotnie mniej pewno potrzebują zasilenia aniżeli lwowskie instytucje, po za paru księżnicami, dość skromnie się przedstawiające. Ale



Główne wejście do zamku Rapperswylskiego.

czy nasi „nieprzejednani“ z Jeżem na czele, pragnący utrzymać Muzeum rapperswylskie koniecznie „na wolnej ziemi“ zgodzą się na to?

I prawdopodobnie tak będzie, mimo, że pp. Lewkowski i Bojko pragnęliby przenieść do Lwowa.

Rapperswyl.



Dar Narodowy P. M. S.

Od Komitetu Daru Narodowego P.M.S. otrzymaliśmy z prośbą o wydrukowanie odezwę następującą:

„Pomimo parokrotnego ogłoszenia w pismach o uregulowanie rachunków „Daru Narodowego“ do d. 1 sierpnia r. b. wiele kół Macierzy, jak również instytucji, upoważnionych do zbierania ofiar, oraz osób, posiadających listy składek, nie nadesłało zebranych sum do dnia dzisiejszego. Komitet daru Narodowego niniejszym usilnie prosi o jaknajspieszniejsze przestanie wszelkich wpływów wraz z dowodami do Zarządu Głównego Macierzy.

Biurowo otwarte od g. 10 do 4 p. p.“



NADEŚLANE.

Pijcie piwo „Waldszleschen“

Żądać wszędzie.

Bank Galicyjski dla Handlu i Przemysłu Kraków. Rynek 25

Załatwia wszelki czynności bankierskie, wydaje przekazy i akredytywy; wymiana walut; najem schowków depozytowych (Safes Dep.)

Tow. Akc. Browaru **Haberbusch i Schiele**

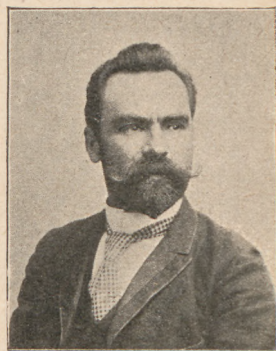
1041 poleca **PIWO PILZEŃSKIE**

HOTEL CONTINENTAL

w Kijowie.

Ofiara wypadku.

Przykry wypadek spotkał jednego z najużyteczniejszych naszych współpracowników, artystę malarza, Ryszarda Oknińskiego, który tak pięknych zdjęć „Świata“ dostarcza. Podczas porachunków jakichś tajemniczych „bojowców“ z „alfonsami“ kula brauningowa, zabłąkana w ulicy, trafiła w nogę Oknińskiego, wracającego w tym czasie drożką do domu przez Bracką ulicę.



Ryszard Okniński.

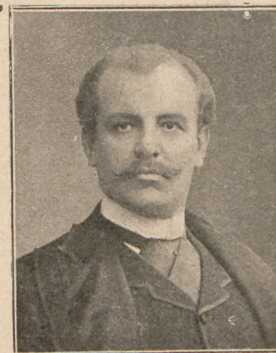
— Zdawało mi się, że otrzymałem uderzenie kijem — opowiadał nam artysta — żadnego innego bólu ani wrażenia na razie. Ale po pewnym czasie spotrzegam, że mi nogawicą krew się sączy z ziemię.

Szcześnie kula przeszła mięsne uda na wylot, nie naruszywszy ani kości, ani naczyń krwionośnych. Sympatyczny kolega nasz chodzi już po pokoju, nie był jednakże dość „gotów“ aby wyjechać z aparatem fotograficznym na spotkanie ks. Borghese pod Kowno i wyręczył go w tym kolega, artysta malarz i literat: p. Zygmunt Bartkiewicz. Od kilku dni wyszedł już Okniński na miasto — oczywiście z ulepszonym przez siebie do zdjęć momentalnych aparatem fotograficznym.



Kierownik śpiewu opery paryskiej.

Nowi dyrektorowie Opery paryskiej wprowadzają nowość, która im zapewne przysporzy nie mało popularności. Oto w celu podniesienia artystycznej wartości przedstawień i dla ujednostajnienia ich stylu tworzą osobną posadę: kierownika śpiewu. Nie ma on nie wspólnego z t. zw. „Korepetytorami chórów“, nie tylko bowiem chóry są mu podległe, ale i soliści. Na wybitne to stanowisko powołano Jana Reszkego, znakomitego śpiewaka, który porzucił już scenę i prowadzi w Paryżu własną szkołę śpiewu na wielką skalę. Trudno było istotnie o lepszy wybór i nowy dyrektor artystyczny p. André Messager dał dowód wielkiej zręczności, pokusiwszy się o użytkowanie doświadczenia i pomyślności Reszkego dla uświetnienia przedstawień operowych.



Jan Reszke.



Z teatrów warszawskich

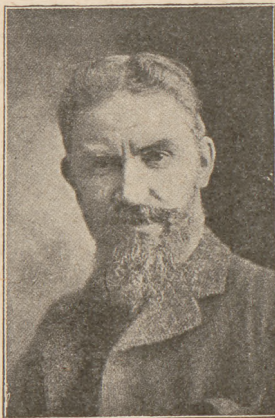
Teatr Nowy. „Profesya pani Warren”
Bernarda Shaw'a.

Znakomity satyryk, głęboki obserwator, dowcipny sceptyk, mający drwić, jak nikt—drwić z ludzi, z własnych swych figur scenicznych, z samego siebie, a przede wszystkim z tego, na co w ojczyźnie jego kładzie się tak wielki nacisk, mianowicie z niewzruszonego konwenansu, z uświęconego kodeksu społeczno-światowego... Takim jest Bernard Shaw. Niewątpliwie cenne i pożądane cnoty autorskie. Obok tego jednak kpi sobie Shaw i z tego, co ludzie przywykli uważać za technikę dramatyczną, albo wymiar sceniczny, uważając i to zapewne za zbyt techniczny konwenans teatralny. Bezwzględni wielbicieli Shaw'a lubią to kłaść na karb jego genialności. Niech i tak będzie. Ale teatr i scena posiadają swe niewzruszone prawa. Jeśli więc 4 aktowa sztuka, jak „Profesya pani Warren” mieści się cała, jako założenie, treść, akcja i rozwiązanie w drugiej odsłonie, lub co najwyżej w dwóch pierwszych, a pozatem cała reszta jest tylko zbędnym, nie, lub prawie nie niemowliwym przedłużeniem rzeczy, jej rozwleczeniem, rodzajem balastu, z którego nie dowiadujemy się już nic nowego, nawet pod względem charakterystyki figur — to, pomimo całego uznania dla niepospolitego umysłu, a przede wszystkim dla tak rzadkiej dziś zalety, jaką jest zupełna oryginalność talentu Shaw'a, powiedzieć trzeba, że sztuka zbudowana jest jak najgorzej.

Punktem kulminacyjnym, całym *clou* komedii, jest właściwie jedna tylko rozmowa matki z córką, w tym drugim właśnie akcie. Pani Warren jest właścicielką, a przynajmniej główną akcyonaryuszką kilku domów rozpusty: w Wiedniu, Budapeszcie i Brukseli. I z tego źródła uciulała sobie nietylko znaczne fundusze, nietylko wychowała doskonale córkę, która skończyła z odnaczeniem uniwersytet, ale nadto uważa i głęboko jest przekonana o tem, że środki te zdobyła na drodze uczciwej pracy, a jej rezultatów wcale się żenować nie potrzebuje. Przeciwnie—dumną jest z tego... Potem jeszcze jeden dramatyczny szczegół: oto pani Warren nie może żadnym sposobem objaśnić córki, kto jest *właściwie* jej ojcem...

Łatwo zrozumieć, że córka pani Warren nie jest zadowolona z wyjaśnień swej matki. Za dobrze ją matka wychowała!. Z wychowaniem nabrała innych pojęć, przesiąsła odmiennymi zasadami, dojrzała i wzrosła w świecie skrajnie przeciwnym. Nie umie zatem ani „wzniesić się” do te-

go, by dumną się czuć z majątku, który z takiego pochodzi źródła, ani patrzeć obojętnie na swe pochodzenie. Ztąd konieczna kolizja pomiędzy zapatrywaniem matki, kobiety wyrosłej na bagnisku społecznym i z niego pochodzącej, a córką, posiadającą nietylko inne wychowanie, ale z niem przekonania i etykę. Kolizja doprowadza ostatecznie do zupełnego zerwania dwóch istot, tak bardzo sobie bliskich, a jednak nie mogących mieć nic ze sobą wspólnego.



Bernard Shaw.

Wszystko, co się dzieje po za tym motywem, zainicjowanym, skreślonym i zupełnie skończonym wkapitałnej scenie, jest mniej lub więcej niepotrzebnym dodatkiem. Wszystko i wszyscy. Przelotny flircik córki pani Warren z synem pastora, który niegdyś był także przyjacielem matki; równie cyniczny, jak arystokratyczny współnik „interesu”, przynoszącego 35 procent, współnik, który do córki, zapłonął uczuciem, nie wiadomo czy bardziej niewczesnym, czy bardziej wstrętnym; nareszcie zupełnie zbędną figurą artysty Francka—wszystko to mogłoby równie dobrze nie być w sztuce. Niewątpliwie!..

Ale talent, a mianowicie talent tak na wskroś oryginalny, jest to rzecz tak piękna, tak niezwykła, a posiada w sobie tyle wdzięku i czaru i zapachu, że nie można się im oprzeć. Dzięki temu, sztuka, choć scenicznie chybiona, posiada momenta, szczegóły, obserwacje, zwroty i niespodzianki tak niezwykłe, i tą niezwykłością piękne, że dla nich samych warto poznać dzieło angielskiego sceptyka, ironisty i kpiarza—ale czasem poety. Tembardziej, że dzieło to jest u nas dotąd zupełnie nieznanem.

Wystawił „Profesję pani Warren” Teatr Mały w Filharmonii. Powiedzmy odrazu: starannie, ale trochę ponad siły. A może tylko bez zużycia sił właściwych. Grano nerwowo, niespokojnie, więcej improwizując, niż z koniecznym w tym razie skupieniem i spokojem. To też, pomimo widocznej pracy i wysiłków, a nawet może czasem i talentu u wykonawców, rezultat nie był takim, żeby zalety sztuki stały się tem piękniejsze, a zatarły się, choć w części, jej kapitalne wady. *A. Br.*

(b). „Mały Faust” (słowa Crémieux'a i Jaime'a, muzyka Herve'go) jest starą ale wesołą operetką, z tych czasów, kiedy do śmiechu nie trzeba było zbytnej komplikacji dowcipu, ale wesołość musiała być szczerą, a muzyka co najmniej oryginalną, nawet w przedżeźnieniu, jak w tym razie, Goethego i Gounoda. Pod tym względem stare operetki są niedoścignione przez późniejsze i najnowsze. Dla nas stare operetki mają i tę wyższość, że miały doskonałych tłumaczy. „Małego Fausta” przełożyli Chełmiński i Szober.

NEKROLOGIA.

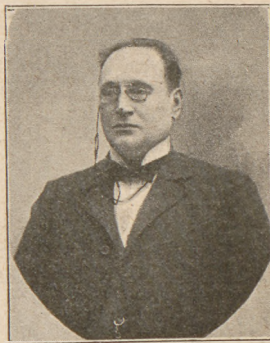
Ś. p. Zygmunt Edmund Matejko,

urodził się w Krakowie 1829 r. i był starszym bratem Jana Matejki. Młodość całą poświęcił na usługi Ojczyzny. Jako uczeń uniwersytetu Jagiellońskiego brał udział w kampanii węgierskiej r. 1848—9. Walczył w legii polskiej pod gen. Dębińskim, Wysockim i Bemem w Siedmiogrodzie. Wzięty przemocą do wojska austriackiego, skazany został do karnych oddziałów do Komorna, w drodze jednak dostał się w Poznańskie, gdzie przez parę lat zajmował się praktyką gospodarczą w dobrach w Turni gen. Chłapowskiego. Wyśledzony przez władze pruskie, uszedł do Francji, gdzie ukończył z dyplomem akademię rolniczą w Grignou pod Paryżem. Jako agronom objął zarząd dóbr hr. Wawrzeńca Engeströma w płockiem. W r. 1863 wziął udział w powstaniu walcząc jako kapitan w oddziale pułk. Czechowskiego i Englerta w Lubelskiem (tutaj miał sobie polecone osłaniać tył oddziału i rozbierać most, by wstrzymać pościg rosyjski, czego wśród kul, ostatni na moście, dokonał), a także pod rozkazami Miniewskiego i włoskiego pułk. Nullo pod Krzykawką w Olkuskiem. Po upadku powstania dłuższy czas więziony był na Zamku w Krakowie, a po amnestyi uzyskał miejsce profesora w szkole rolniczej w Czernichowie. Pragnąc pracować nad ludem, w którym widział przyszłość narodu, wziął w dzierżawę wieś Bińczycę pod Krakowem, gdzie przez lat 24 zajmował się gorliwie ludem i szkołą. Skołatany niepowodzeniami, na starość przeniósł się do Krakowa, a gdy już pracować nie mógł, na prośby dzieci spisywał pamiętniki z pełnej nadziei i zawodów swojej młodości. Znał wielu ludzi wybitnych minionej epoki (Mickiewicza, Czartoryskiego, Lelewela, wielu generałów z r. 1830). Staruszek siwy, o wybitnie polskich rysach, dźwięcznym głosem i słodkim usposobieniem, należał do typów Krakowa. Pogrzbek odbył się dnia 4 lipca 1907 r. w Krakowie.



Ś. p. Wiktor Bratz,

artysta teatru ludowego, a po jego rozwiązaniu, teatru Nowości w Warszawie, zmarł w Warszawie, w dniu 4 b. m., przeżywszy lat 55. Ceniony przez kolegów i znajomych, jako dobry i zadowolony kolega a zarazem pożyteczny artysta, pozostawił po sobie szczery żal. *n.*



polecają: tekturę smołowcową z dodatkami, lak, smoły i wyroby korkowo-izolacyjne własnej fabrykacyi.

WARSZAWA
Leszno 68.

A. TAHN & C^o,
dawniej F. Pietschman.

A. TAHN & C^o,

Życie prowincji. (Z 4 ilustr.) *A. Nowaczyński*.
 Sławny człowiek. Powieść. *Włodz. Perzyński*.
 Ex-libris'y Bibliotek Polskich XVI—XX wieku.
 (Z 12 ilustr.) *Władysław Wankie*.
 Turystyka polska. (Z 4 ilustr.) *Clarus*.
 Z miłosnych pieśni ludowych. *A. Lange*.
 Najstarszy z żyjących malarzy polskich. (Z 2
 ilustr.) *b.*
 Menuet Mozarta. *Anna Kłopotowska*.
 W Landwarowie. (Z 3 ilustr.) *W. B.*
 Dzi-litsu. (Z 3 ilustr.) *p.*
 Z literatury. *A. Miecznik, J. K. K., J. i Z-a.*
 W krainie wiecznej wiosny. (Z 3 ilustr.) *Jodko*.
 Z tryoletów. *M. M. Poznański*.
 Na Litwie. (Z 7 ilustr.) *W. J. Ł. i W. Śliżęń*.

Sale Zajęć w Radomiu. (Z 1 ilustr.) *X.*
 H. K. T. (Z 1 ilustr.) *a.*
 Prace podczas wakacji. (Z 2 ilustr.) *c.*
 Gość włoski. (Z 1 ilustr.)
 Wakujące stypendya.
 Cwierćwiekowy jubileusz. (Z 1 ilustr.)
 W sprawie „Momentu Tylży w romantyzmie
 polskim”.
 Z dzieł niedoli publicysty poznańskiego.
 (Z 1 ilustr.) *G.*
 Nowa wyprawa balonem do bieguna (Z 1 il.) *n.*
 Na spotkanie ks. Borghese w Kownie.
 (Z 4 ilustr.) *Zygm. Barłkiewicz*.
 X Zjazd lekarzy i przyrodników polskich we
 Lwowie. *Dr. Stan. Łagowski*.
 Niezwykły gość. (Z 1 ilustr.)
 Lwów czy Kraków otrzyma Muzeum rappers-
 wskie. (Z 1 ilustr.)

Dar narodowy P. M. S.
 Ofiara wypadku. (Z 1 ilustr.)
 Kierownik śpiewu opery paryskiej. (Z 1 ilustr.)
 Z teatrów warszawskich. *A. Br.*
 Nekrologia. (Z 2 ilustr.)

ODDZIELNE ILUSTRACYE

Powrót. *Eug. Feyen*.
 Pieśń rodzinna skaźców. *W. Szeveszewski*.
 Portret p. Grabowskiego. *Rychter-Janowska*.
 Ofiara. *A. A. Gordonnier*.
 Demokracja chrześcijańska rozwija się.
 Pierwszy zjazd gorzelniczy w Warszawie.
 Domniemane nominacje w niedalekiej przy-
 szłości. (2 ilustr.)
 Napad pod Włochami.

Wydawcy: Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.

Redaktor: Stefan Krzywoszewski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Krakow, ulica Zyblikiewicza № 1.

Fabryka Tabaczna

„NOBLESSE”

w Warszawie.

poleca:

Papierosy i Tytonie.

LABORATORJUM DOKTORA

KARWACKIEGO

Warszawa, Nowojasna 6.

Wyrób kwaśnego mleka bułgarskiego, wyrób zaczynów suchych
 i płynnych. Skład główny zaczynów: Apteka K. WENDY
 Krakowskie-Przedmieście 45. Warszawa
 Prospekty i literatura wysyła się na żądanie.

Pierwsza Warszawska Parowa Fabryka
 Farb Artystycznych
JAN KARMAŃSKI i S-ka
 Warszawa, Chłodna 44 tel. 15-11

Berlin jedyny hotel polski

pod firmą Hotel Métropole

Pod lipami (Unter den Linden) 20, drugi
 dom od Pasażu-3 minuty od dworca Fry-
 derykowski. Pokoje od 2,50 marek.
 Oświetlenie elektr. Usługa łaża polska
 Właścicielka TOMASZOWA JEDWABSKA.

DLA KASZLĄCYCH I OSŁABIONYCH
 EKSTRAKT I KARMEŁKI

LELIWA

w Warszawie, ul. Zielna № 21, Tel. 59-54.
 SPRZEDAŻ W SKŁADACH APTECZNYCH I APTEKACH.

Kuchenki naftowe „PRIMUS”
 Kuchenki belgijskie „NERO ARDENT”
 Maszynki do kawy różnych systemów
 Naczynia niklowe fabryki Kruppa w Bernsdorfie

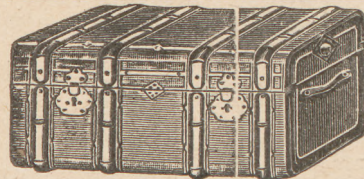
poleca: skład naczyń kuchennych

Edwarda Dusoge

Nowy-Świat № 5 w Warszawie telefonu 25-15

Stanisław Krause i S-ka

dawniej T. L. Breymeyer



Fabryka i Magazyn
 wszelkich przyborów do
 podróży, Konnej jazdy
 i Polowania.

Warszawa, Królewska № 1
 róg Krakowskiego-Przedmieścia.

Jedyna w kraju fabryka Kufrów trzcinowych.

Znakomity podręcznik P. Bert'a

„KURS ELEM. NAUK PRZYRODNICZYCH”

w przekładzie Anny Kratzer z 48 wyd. franc.

Tom I.—Rok pierwszy, dla dzieci od 7 do 10 lat, 50 kop. Tom II.—Rok dru-
 gi, dla dzieci od 10 do 12 lat 65 k. Tom III.—Rok trzeci, dla dzieci od 12
 do 15 lat — w druku. Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Perfumerja

J. Wróblewskiej

poprzednio

A. LIPINK

Niecała róg Wierzbowej

Poleca największy wybór nowo-
 ści perfumeryjnych i kosmetyków.
 Wyroby z włosów w wielkim
 wyborze 583

„Postiche bouffant”

Specjalne salony do farbowania
 włosów na wszystkie kolory.

Pastyłki przeciw Migrenie i silnym bólowi głowy

wynalazku D-ra LAUTERBACHA w Paryżu!

Środek ten jest najradzykalniejszym, usuwa natychmiast ból i wzmacnia
 ustrój nerwowy. Cena pudełka 1 rb. pół pudełka 55 kop. Hurtowa
 sprzedaż Ludwik Spiess i Syn, Tow. Akc. Henryk Welt i dostać można
 we wszystkich aptekach i składach aptecznych.

Reprezentant na Królestwo i Cesarstwo

A. KIRSZROT, Warszawa, Karmielicka № 13
 telef. 19158.

Zamiejscowym wysyła się za zaliczeniem.

79 g

Mlle de MOISARD

przeniosła

PRACOWNIĘ SUKIEN
 Mazowiecka Nr. 1.

Bracia Jabłkowscy

Warszawa, Bracka 23.

POLECAJĄ:

Żowary wełniane, jedwabne, lniane, bawełn.

Bieliznę damską — Całe wyprawy.

Trykotażę — Wyroby pończ.

Kołdry wełn.—bawełn.—„na wacie”

GALANTERJĘ.

Wysyłka

katalogów
 i prób
 bezpłatna

Wysyłka

zleceń
 od Rb. 12 na
 koszt firmy

LIST OTWARTY

do p. Plato v. Reussnera
 w Warszawie, ZŁOTA 6.

Ucząc się niemieckiego języka,
 próbowałem rozmaitych podręczni-
 ków i nauczycieli, ale rezultaty nauki były
 marne, prawie żadne. Dopiero z pora-
 dy nauczyciela, p. Tews, rozpocząłem
 na nowo naukę przy pomocy Pańskie-
 go „Samouczka”, z którego nauczy-
 łem się po niemiecku, a potem po
 angielsku nadzwyczaj łatwo i prędko.
 Dzięki więc znajomości niemieckiego
 i angielskiego języka, dostałem tu
 w Ameryce, bardzo korzystne zajęcie,
 o jakie się napróżno kuszą moi kole-
 dzy, nieumiejący tych dwóch języków.
 Wydatek na książki zwrócił mi się
 z tysiącnym procentem. Zatem uwa-
 żam „Samouczek” Pański za naj-
 lepszy podręcznik w Europie i Ame-
 ryce, który cenę tysiąc razy wyżej,
 niż złoto i brylanty, bo te może łatwo
 ukraść złodziej, a „Samouczek”
 i wiadomość z niego nabyta jest nie-
 wyczerpanym źródłem skarbów bez-
 piecznych przed złodziejami i ra-
 busiami.

LEOPOLD KUZWA.

Toledo, Ohio, 224 Colburn-Str.,
 Ameryka Półn. Dnia 16-go Lipca 1905 r